Nr. 30. Lwów, Niedziela dnia 1. Kwietnia 1877 r. **Tom V.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcya:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracya:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

Łączność umysłowa.

Już w artykule „Swoi czy obcy?“ zwróciliśmy uwagę na to, jak niezbędnem jest utrzymanie umysłowej łączności pomiędzy rozdartemi częściami dawnej Rzeczypospolitej. Nikt pewno dzisiaj już nie zaprzeczy, iż przyszłość narodu zależy przeważnie od kierunku, jaki umysłowość jego przybierze, i że klęski lub zwycięstwa jego są jeżeli nie wyłącznie, to jednak przeważnie, jak na sławnym owym obrazie Kaulbacha odbiciem walk staczanych w sferze myśli. Naród, który utracił byt polityczny, nie odzyska go nigdy, jeżeli w owej sferze myśli rozdartym będzie na rozmaite bez żadnej spójni a nieraz i bez wzajemnych o sobie wiadomości działające zastępy tak, jak go politycznie rozdzielono...

Kiedy na całej przestrzeni Polski srożył się ucisk myśli i słowa, tamujący już nie tylko swobodne spraw ojczystych omawianie, ale i w znacznej części wszelką naukową i literacką pracę — umysłowa ta łączność między rozdartą bracią, była bardzo utrudnioną, i do nader skromnych sprowadzoną rozmiarów. Najcelniejsze utwory piśmiennictwa polskiego, pojawiały się wówczas w emigracji, i ukradkiem do kraju przemycane krzepiły w narodzie myśl polską, podnosiły ducha. Czasem piosnka jakaś niedrukowana nigdzie, czasem drobna jakaś o narodowej polityce rozprawka — obiegały przepisywane z rąk do rąk, a przekraczając kordony snuły między częściami Polski nieprzerwaną nić myśli narodowej. Co zaś znalazło łaskę w oczach cenzury, to zazwyczaj było przystępnem tylko nielicznemu gronu czytelników — były to bowiem poważne dzieła naukowe lub historyczne, które po za najbardziej wykształcone warstwy narodu rozchodzić się nie mogły. Jedna tylko powieść — dla której cenzura bywała łaskawszą — zdobywała sobie czytelników wszędzie, i w jaknajszerszych kołach.

Dzisiaj stosunki zmieniły się znacznie i w sposób ułatwiający utrzymanie owej umysłowej łączności. Wpłynęła na to najprzód swoboda prasy w jednej przynajmniej części kraju — a powtóre wielki wzrost dziennikarstwa i połączone z nim popularyzowanie wszelkich gałęzi wiedzy. Skutkiem owej swobody prasy u nas, mogą rodacy z wszystkich dzielnic Polski znaleść możność wypowiedzenia tutaj tego, czego im tam cenzura wypowiedzieć nie pozwoli, przedstawienia zatem w prawdziwem świetle stosunków panujących tam pod tak srogim a na wszelkie gałęzie życia rozciągnionym uciskiem. Ta część zadania spada przeważnie na dziennikarstwo polityczne, które winno się starać o licznych a wiarogodnych korespondentów, a dawszy im wszelkie możliwe ubezpieczenie, i wszelkie poczyniwszy ułatwienia, można doprowadzić do tego by mieć tu zawsze wierny obraz stanu owych kordonem od nas przedzielonych prowincyj.

Drugą nie mniej ważną część zadania spełnić ma dziennikarstwo literackie. Roześmiałby się każdy, komuby mówiono o galicyjskiej literaturze lub sztuce, o poznańskiem dziejopisarstwie, o kongresowej lub litewskiej nauce. Mamy i mieć możemy tylko sztukę polską, polską tylko literaturę i historyografię. A jednak — łatwo staćby się mogło, że prace umysłowe nasze byłyby polskiemi tylko z nazwiska autora, tylko z mowy, w której są pisane — a z ducha i treści byłyby tak prowincyonalne, że zebrane razem tworzyłyby mechaniczną tylko, przypadkową, lecz nie organiczną całość. Jeżeliby peryodyczne piśmiennictwo nasze w doborze współpracowników zamykało się zawsze w kółkach prowincyonalnych, zamiast otworzyć szranki pracownikom z wszystkich dzielnic Polski — jeżeliby nie starało się o dokładne wiadomości z ruchu literackiego naukowego i artystycznego całej Polski, lecz poprzestawało na sprawozdaniach z tego, co się dzieje w szczupłym zakresie prowincyonalnego życia — jeżeliby publiczność polska w Galicji zaledwie z imienia znała pracowników w Królestwie i Poznańskiem, a nasz literat lub uczony nie troszczył się nawet o równoczesne tam czynione postępy — byłaby to rzeczywiście literatura galicyjska, ale nie polska. Zapobiedz temu może peryodyczne piśmiennictwo już nie tej jednej tylko dzielnicy, ale wszystkich dzielnic, a dzisiaj tem łatwiej, że poziom ogólnego wykształcenia wzrósł znacznie, zastępy czytelników znacznie się rozszerzyły, a wszystko co się dziś w jakiejkolwiek gałęzi literatury i nauki pisze, przystępnem jest o wiele szerszym kołom aniżeli było przed dwudziestu laty. Działając we wskazanym przez nas kierunku osiągnie się obok owej łączności drugą jeszcze bardzo ważną korzyść — obudzi się w znacznie szerszych kołach piszących to szlachetne współzawodnictwo, które jest najdzielniejszym bodźcem każdej a szczególniej umysłowej pracy.

Jeżeli jednak żądamy, aby piśmiennictwo nasze było z ducha i treści polskie w całem słowa znaczeniu, aby pomiędzy pracownikami we wszystkich dzielnicach kraju utrzymać jak naściślejszą łączność, to musimy równocześnie zastrzedz się przeciw drugiej jednostronności, którą z programu umysłowych prac naszych stanowczo wykreślić należy. Polegałaby ona na wyłącznem już zamknięciu się w tem tylko, co polskie, i odgraniczeniu się nieprzebytym murem od prac naukowych i literackich reszty cywilizowanego świata. Podnosimy tę sprawę równocześnie z powyższemi uwagami o potrzebie narodowej łączności, dla tego, ponieważ najgorętsze, najbardziej patryotyczne umysły łatwo się jednostronności takiej porywać dają. A jest ona dla nas równie może niebezpieczną, jak brak spójni w narodzie samym. Tak jak najżywszym jest narodu interesem i niezbędnym warunkiem pomyślnej jego przyszłości, ażeby to był jak powiada poeta „wielki posąg z jednej bryły“ — tak też nie myśleć mu o tej przyszłości, jeżeli nie potrafi zdążać równym krokiem z postępem owej wielkiej rodziny narodów zwanej ludzkością. Tak jak w zdrowem społeczeństwie zasługa tylko wynosi ludzi na stanowiska i nadaje im znaczenie, tak jak obok każdego prawa równolegle idzie pojęcie obowiązku, tak też i w ludzkości bez zasługi około dzieła cywilizacyjnego postępu, żaden naród trwałej sobie przyszłości nie zbuduje, a bez spełniania obowiązku nie na-

będzie praw. Dawnemi zasługami narodu nie mogą żyć w nieskończoność dalsze jego pokolenia, bo wszak i w narodzie samym idą w zapomnienie próżniaczy i egoistyczni potomkowie nawet najbardziej zasłużonych rodów. Ani też wierzyć się godzi tym co twierdzą, że cierpienie samo jest już dostateczną w ludzkości zasługą, bo póki jeszcze są siły do czynnej pracy, póty trwa jeszcze i obowiązek. A obowiązku tego nie spełnimy, ani takiej nie poniesiemy zasługi, jeżeli puszczając mimo nas cywilizacyjne prace ludzkości, nie troszcząc się o to, jakie postępy czyni wiedza ludzka i oparte na niej urządzenie społecznych stosunków, zamkniemy się wyłącznie sami w sobie. Mimo wszelkich różnic narodowych i politycznych, świat cywilizowany tworzy już dzisiaj pewną całość, wspólnymi prądami i dążeniami złączoną i utrzymywaną, a z całości tej dobrowolnie się wykluczać znaczy tracić w niej wszelkie prawa i skazywać się na zagładę. A nie można tu poprzestać na tem, by się utrzymać na równym poziomie z postępem umysłowym Europy, należy się starać i oto, ażeby świat wiedział o wszelkich ważniejszych u nas pracach i zdobyczach. Gdyby innem było położenie narodu, zadanie to prawie bezwiednie by się spełniało i bez wszelkich wysiłków. W naszem zaś położeniu, gdy jesteśmy dla wielu prawie zapomnianym narodem, musimy się światu sami przypominać, sami pamiętać o tem, by wszelka przez Polaka uczyniona zdobycz w jakiejkolwiek gałęzi nauki, wszelkie ważniejsze nasze prace literackie, wszelkie cenniejsze dzieła sztuki nie mijały bez śladu po za granicami Polski, lecz owszem nabrały i tam rozgłosu. Każda taka praca, to jedna zasługa Polski więcej, to nowy dowód żywotności narodu, to jeden węzeł więcej czyniący nas niezbędną częścią w wielkim organizmie ludzkości.

Nieraz jeszcze będziemy mieli sposobność wykazania, jak rzucone tu uwagi dadzą się w życie wprowadzić, i jakie szczegółowe prace w tym kierunku podjąć należy. Dziś chodziło nam tylko o wskazanie że w umysłowych pracach naszych starać się nam trzeba przedewszystkiem o utrzymanie łączności u wszystkich rozerwanych części narodu, nigdy jednak nie zrywać węzła łączącego nas z cywilizacyjnym postępem ludzkości, lecz owszem przyswajając sobie wszelkie jego zdobycze, starać się zarazem o to, ażeby za granicą wiedziano o postępach w literaturze, nauce i sztuce czynionych przez naród zawsze żywy chociaż z rzędu żywych wykreślony, zawsze cały chociaż politycznie rozdarty.

ŻELIGA.

Powieść

JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(*Dokończenie.*)

— Przebacz mi żono — rzekł chory — daruj kasztelanie, raz jeszcze uznaję zupełną twoją niewinność a moją winę do której mię niecna chciwość powodowała. Powiedzcie że mi przebaczacie, ulży to duszy mojej.

Rózia poklęknąwszy u łoża, zaczęła płakać wymówiwszy kilka słów niewyraźnie, a potem głośniej dodała:

— Winnam ci panie mój żeś mnie z ubogiego stanu wydźwignął i za towarzyszkę sobie obrał; niech ci za to wdzięczność choć teraz wypowiem... alem grzeszna że mnie duma do oddania ci ręki wiodła gdy miłości w sercu nie miałam co i moje i twe życie zatruło. Niech ci więc ulży na sumieniu ta szczera spowiedź moja bośmy wszyscy grzeszni!

I skryła twarz w dłoni.

Po krótkiem milczeniu kasztelan podniósł głos.

— Ja wszelką urazę moją i osobistą krzywdę odpuszczam wam, tak jak pragnę aby mi Bóg grzechy moje darować i niepamiętać raczył. A dziękuję ci żeś mimowolnie był narzędziem próby w rękach Boga, żeś mi dał przestrogę i naukę. Nie mam urazy i wszystkiegom już zapomniał... a jeśli ci śmierć przeznaczona przedemną, obowiązuję się do zgonu o duszy twojej pamiętać.

Naostatek przemówił Ojciec Serafin.

— Wielki, piękny przykład dał nam ten umierający chrześcijanin: z głębokiego grzechu powstając zrzucając pychę i fałszywy wstyd, zeznając winę; uroczyście dając mu rozgrzeszenie proszę was przytomnych poklęknijcie ze mną i proście Boga o jego uzdrowienie.

Z zakonnikiem razem schylili się wszyscy, cichą odmawiając modlitwę, chory uspokojony płakał cicho. Każdy z odchodzących podał mu rękę. Kasztelan pocałował w czoło i po cichu wyszli wszyscy, ksiądz tylko i żona została.

Mimo chwilowego polepszenia Achinger wszakże żony nie przeżył; około dwunastej stracił przytomność, a przededniem skonał w wielkich miotając się boleściach.

Nazajutrz chodziła po Warszawie historja tej spowiedzi odwołania i dziwnej śmierci Achingera, podawana z ust do ust z takiemi nawet szczegółami, które zupełnie były zmyślone, mianowicie że on sam rękę kasztelana z ręką żony swojej połączył. W istocie trafiło się że sięgając po dłoń Achingera obie ich ręce przypadkowo się spotkały... z tego upleciono owo bajeczne błogosławieństwo umierającego.

Kasztelan był oczyszczony i wychodził zwycięzko. Pogrzeb też Achingera, który on swym kosztem (nie mówiąc o tem) sprawić kazał, pociągnął ogromne tłumy za sobą. Ciśniono się za trumną, szczególniej może dla zobaczenia żony, która szła za nią zakwefiona; opowiadano bowiem o jej pochodzeniu, piękności, rozumie istne dziwy, i gdyby nie gruba żałoba i zupełne odsunięcie od towarzystwa, które ze wszech miar właściwem było, najpierwsze salony Warszawy byłyby się otwarły przed nią i najpierwsze partje Rzeczypospolitej byłyby się o wdowę stręczyły.

Z porady przyjaciół, pani Achingerowa jeszcze czas jakiś postanowiła zostać u PP. Wizytek w klasztorze, w którym sobie nadspodziewanie upodobała nie znajdując go wcale tak strasznym jak jej w ogóle klasztory opisywano.

Tymczasem stolnik Barciński podjął się zarządu majątkiem, a kasztelan zaraz po pogrzebie wyruszył znowu do swojej pustelni.

Epilog.

Blisko lat dwa dobiegało od opisanych wypadków a ludzie, których pamięć nie jest trwałą, dla żywszych i świeższych spraw, zupełnie prawie zapomnieli o Achingerze, kasztelanie, nawet o pięknej Rózi, której tak z razu byli ciekawi, że się w parlatorjum PP. Wizytek cisnęły odwiedziny w nadziei zobaczenia jej twarzy lub posłyszenia czegoś o niej; a trwał ten zapał niespełna parę miesięcy. Zrodził on nawet modę jakiegoś paska *à la belle Rose*, skórzanego, nabijanngo gwoździkami, choć go pani Achingerowa nigdy w życiu nie nosiła.

Pół roku spocząwszy u Wizytek wybrała się na wieś, i spokojnie w domu osiadła. Ale tu młoda i piękna, a w dodatku i majętna wdowa, takżeby spokoju była nie miała od zalotników, gdyby od razu jak najzupełniej domu była nie zamknęła. Była parę razy u Barcińskich, tylko z niemi żyła, nie widując więcej nikogo. Pobyt w klasztorze przyzwyczaił ją do samotności. dał jej zamiłowanie w książkach i kwiatach.., pamięć na dawny stan zwróciła ją do wieśniaków dla których chciała być istotnie siostrą i matką. Miano jej to za dziwactwo, że zrzuciwszy w półtora roku żałobę, przebrała się po chłopsku; ona odpowiadała na to: w tym stroju było mi najlepiej. Suknie te staranniej były zrobione, cieńsze, wykwintniejsze, ale krojem, barwą podobne do tych jakie nosili włościanie. W kościele bywając pani Achingerowa stawała w pośród nich, nigdy się nie napierając do pierwszych ławek. Lud też nietylko jej wioski, gdzie miała krewnych, ale i okolicznych kochał ją i szanował nad wyraz. Była lekarką, pocieszycielką, siostrą miłosierdzia dla braci, a tak jej było ślicznie z tym ubiorem pokornym krzątających się po chatach, że ją chłopi świętą Rózią nazywali. Czy była szczęśliwą, któż powie, możnaż być szczęśliwym będąc samotnym, i nie mając nikogo; to pewna, że była spokojnie smutną, a czasem w Barcinie, gdy się szczerzej rozgadała. jakoś bardzo łatwo na łzy jej się zbierało.

I nieszczęście i ta pokora i dobroć Achingerowej rozbroiły zupełnie poczciwą panią Marcinowę, która znieść jej nie mogła póki chodziła w sukni i robronie, ale pokochała ją w sukmance. Sadzała ją przy sobie na kanapie, całowała, ściskała, przejednała się z jej pięknością i zrozumiała przyjaźń serdeczną Justysi dla niej.

Przez całe te dwa lata kasztelan siedział, jak mówiono zamknięty w swej pustelni, nie dając znaku życia. W święta tylko odbierali od niego Barcińscy zwierzynę, owoce, książki, małe przypomnienia i listy z powinszowaniem. Uważał to stolnik, że Achingerowa nigdy o niego nie zapytała, a gdy przypadkiem w rozmowie trafiła się wzmianka, rumieniła się nadzwyczajnie.

— Ja ci mówię — szeptała p. Marcinowi do męża — no zobaczysz, że oni się jeszcze znajdą i pobiorą.

— Ale, gdzie zaś — oponował Barciński — kasztelan ani dla familji tego zrobić nie może, ani dla niej, ani dla siebie, bo by z tego zaraz gadaniny urosły, że taki coś między niemi było.

— Nic nie było niepoczciwego — mówiła stolnikowa — ale że się bardzo polubili, to już mi tego nie zaprzeczysz, ja mam dobre oczy.

Jakoś przed samemi Zielonemi Świątkami, stolnik siedział pod lipą z przybyłym kwestarzem, który był nieprzebrany w dykteryjkach i śmiał się jak nigdy z różnych jego ucinków, aż zatętniało na mostku, na grobli. Mostek ten był istny zdrajca, nie widać go było, bo stare drzewa zasłaniały drogę całkiem, ale żeby kto przezeń pieszo przeszedł, we dworze zaraz słychać było. Stolnik nastawił ucha.

— Ktoś jedzie — rzekł.

— Wóz chłopski — odezwał się kwestarz.

— Nie, nie, bryczka, cztery konie... ja poznam po turkocie.

Braciszek się uparł.

— Wóz, ręczę że wóz.

— Ale bryka.

— Chcesz iść w zakład póki nie widać — spytał Barciński.

— O cóż, chyba o niuch tabaki?

— O barana!

— Baran należy do konwentu.

— Ale o barana... służę dwa przeciw jednemu.

Braciszek pomyślał...

— Dobrze — rzekł — z tym warunkiem, że o rozstrzygnięcie zakładu spytamy kogo ja wskażę...

— Zgoda.

— Zgoda.

Ledwie tych słów domówił, wtoczyła się w dziedziniec ni to wóz ni bryka, długiego coś, wysłanego wygodnie... cztery konie u lic, a stolnik zapomniawszy jako żywo o zakładzie, baranie i wozie, rzucił się poznawszy Żeligę.

— A cóż to dla mnie za święto! — krzyknął — a co za fest, a co za zielone, rajskie świątki, gdy mojego dobrodzieja oglądać mogę.

Otworzył ręce, śmiał się, czapkę do góry podrzucił, oszalał starowina.

Aż kwestarz go za rękaw pociąga.

— Wóz, panie stolniku dobrodzieju.

— Wóz! wóz! i trzy barany!

— To dla mnie, a dla konwentu? — zapytał figlarnie braciszek.

— Dla konwentu drugie tyle, i hura! niech żyje kasztelan.

Żeliga już wysiadał, a tu i stolnikowa na ganek wybiegła i co żyło we dworze, bo go wszyscy kochali niezmiernie. Ledwie mu dali wysiąść z wozu, ten ściskał, ów za kolana chwytał, ci po rękach całowali, aż się trochę rozczulił kasztelan, bo by go rodzeni nie witali serdeczniej.

Kwestarz także był w humorze niepoślednim zyskawszy sześć baranów i natychmiast przy opowiadaniu o zakładzie otrzymał drugie sześć od kasztelana, z dodatkiem assygnacji obfitszej do blizkiego majątku.

Stolnikowa się tylko sturbowała, że już na ulubiony krupniczek z półgęskiem było za późno, a na wieczerzę nic prócz kaszy i krążków szczupaka nie dysponowano. Przyrobiono wszakże naleśniki z powidłami, ktore na wsi każdego niemal niespodziewanego gościa spotykają.

Wieczór upłynął na pierwszej żywej wymianie pytań, opowiadań wyznań, na których nigdy nie zbywa przyjaciołom po długiem niewidzeniu. Stolnikowa bacznie wpatrywała się w przyjaciela, znalazła go opalonym bardzo ale dziwnie czerstwo, silnie i zdrowo wyglądającym. Pokój ducha malował się na jego twarzy.

Żeliga zajął swe dawne mieszkanie w officynach bo innego nie chciał i zdawało się znowu w Barcinie, że stare dobre czasy wróciły.

Wieczorem zasiedli pod lipą.

Barciński uścisnął Żeligę popatrzał nań i szepnął cicho:

— Daruj mi ojcze, przyjacielu, dobrodzieju, ale ja ci coś powiem.

— No cóż mój panie Marcinie, mów.

— E! boję się żebym z dobrego serca głupstwa nie powiedział.

— A choćby... śmiejąc się rzekł kasztelan.

— Darujesz?

— O! z serca także.

— Otóż powiem... nie gniewaj się... jak mi Bóg miły wdówka na ciebie czeka...

Schwycił go za rękę Żeliga.

— Cyt stary co pleciesz i czy to my do kobierca, mój drogi, czy młodszych nie ma na świecie do złotego jarzma. Myśmy poddeptani, a jarzmo lat już nam cięży, pocóż śnić o młodości, gdy jej nie ma.

— Zresztą... niewiem czyby to przystało dla samych ludzkich języków.

— A niechby tam te ozory wilki pojadły — krzyknął Barciński — żeby uczciwi ludzie mieli dla nich pokutować. Chcesz kasztelanie wiedzieć, oto ci powiem, żeś tę kobietę oczarował. Z mowy, z milczenia, z rumieńca, ze wszystkiego widać, że jest tak do was przywiązaną, że chyba równej miłości w takim składzie rzeczy jeszcze świat nie widział. Za to ręczę, bom ja wypróbował, a stolnikowa szyję daje, że się pobrać musicie. Tylko jedno głupstwo zrobiła, że zrzuciwszy żałobę przebrała się po wieśniaczemu i tak chodzi. Raz że to zakrawa na komedję, powtóre, że ją to od was niby oddala, bo jakże senator... i chłopka.

— A! mój przyjacielu — odparł Żeliga — gdyby to tylko było na przeszkodzie.

— Ale ja sobie myślałem tak — mówił Barciński — że jest tam jakiś gatunek szlubu zagranicznego dla królów, książąt i panów, gdy się żenią z osobami nierównego stanu, co się zowie organtyczny.

— Morganatyczny, stolniku kochany, ale takiego ślubu jabym nie wziął, a nie ożeniłbym się z kobietą, którаby nań zezwoliła.

— Ale familja...

— Moja rodzina, bylebym się ożenił, czego pragnie, nic mi już nie powie zkim.

— A więc? — spytał ochoczo Barciński.

— Więc panie Marcinie pono nic nie ma i nic nie będzie.

Na tem się to skończyło ten raz.

W parę dni stolnikowa się niezmiernie uradowała ujrzawszy przybywającą Achingerowę.

Panowie byli w ogrodzie, umyślnie jej nic nie powiedziała o kasztelanie, posadziła na kanapie, a sama wybiegła uprzedzić sługi, by nie oznajmili nic o gościu. Konie z przed ganka usunięto zręcznie. Udało się Barcińskiej całkowicie, bo gdy kasztelan wszedł, oniemiał na progu, a Achingerowa krzyknęła z radości I tak się niebożątko zapomniała, ze wyciągnąwszy ręce, rzuciła się ku niemu. Żeliga zawahawszy się chwilę jakby ze wstydu, podbiegł i gorąco ucałował jej ręce. potem odstąpił i począł patrzeć.

— Miły Boże — zawołał — gdybym nie wiedział, że to pani dobrodziejka uczyniła z innych pobudek, powiedziałbym, że się tak ubrała dla tego, aby jeszcze wydawać się piękniejszą.

— Kasztelanie — odpowiedziała Rózia żywo — wierzcie mi, że jeśli mi nie jest szpetnie w tym ubiorze, to dla tego, żem w nim wzrosła, że moim jest, że ja stworzoną byłam do niego.

I tak się poczęła rozmowa długa serdeczna, w której czas ubiegł niepostrzeżenie do wieczora. Barcińscy jak prawdziwi intryganci uszydzali się mrugając na siebie tak, aby jak najmniej poufałym zwierzeniom się przeszkadzać... To on ją, to ona jego wywoływała, a ciągle coś było do czynienia w drugim pokoju. Ani kasztelan, ani Rózia nie uważali na to, tak sobą byli zajęci.

Nie wypadało kasztelanowi samemu jechać do wdowy, ale go tam zaraz zawieźli Barcińscy i wnet ją zaprowadzono do Barcina, a wkrótce znalazł się powód spotkania, raz, drugi, trzeci i dziesiąty.

Upłynęło parę miesięcy, a stolnik się już niecierpliwił choć słowa nie rzekł.

Jednego rana poszeptali sobie coś z żoną i Barcińska sama pojechała do Achingerowej. Ale że jej było zawsze pilno, i choć nie młoda, niecierpliwą była bardzo, zaraz ją wzięła z sobą do ogrodu. Usiadły na ławce pod gruszą.

— Moja dobrodziejko — rzekła stolnikowa — ja widzę, że jeśli my baby ładu tu nie zrobimy, to go nigdy nie będzie. Kasztelan się w tobie kocha na zabój, ale utrzymuje, że stary, że to, że owo, że ty go poślubić nie możesz, że byłabyś z nim nieszczęśliwą... i boji ci się oświadczyć. Mów szczerze, chcesz go czy nie?

Achingerowa zakryła oczy i padła na kolana przed stolnikową.

— Dobrodziejko, matko moja! czyżbym ja śmiała myślą nawet sięgnąć tak wysoko. Ja go kocham więcej, powiem że go czczę, ja bez niego żyć już nie potrafię... ale czyż to może nawet być, żeby on myślał się ze mną ożenić! A! nie! to niepodobna. Powiedzcie mu, niech mię sobie weźmie choćby za sługę, za klucznicę, abym się na niego patrzeć i głos jego słyszeć mogła.

— Ale dajże ty pokój z tą pokorą, zakrzyknęła stolnikowa, a resztę zostaw mnie... bylebyś go kochała a reszta nic. Ja to doprowadzę do końca.

Ani się nawet na kawę nie dawszy zatrzymać, Barcińska siadła na wózek, kazała prędko jechać, choć po trzęskiej grobli i na obiad stanęła w domu. Stolnik choć z nią sam na sam mówić nie mogł, z twarzy poznał zaraz że się wszystko powiodło... była rozpromieniona tryumfująca, szczęśliwa.

Po obiedzie stolnik się wysunął zosta-

*

wując żonę z kasztelanem, mrugnąwszy na nią tylko nieznacznie. Barcińska siadła z pończochą naprzeciw gościa i poczęła:

— Mój kochany tatku Żeligo — tak go zawsze nazywała — no, pogadajmy otwarcie, jabym ciebie chciała ożenić.

— A to znowu co?

— Ot fantazja starej baby, a wiecie jak się baba uprze.

— Na ten raz będzie trudno.

— Gdzietam, kasztelanie. łatwiuteńko, daj mi tylko plenipotencją.

— Nie mogę.

— Dlaczegoż?

— Bobyś jejmość dobrodziejka z gorącej dla mnie przyjaźni mogła mi wypłatać figla jakiego, a ja nie bardzo mam ochotę żenić się.

— A cóż u kaduka — żywo zawołała stolnikowa — kobietom głowę zawracasz.

— Ja?

— A ty, ty, tatku Żeligo... krótko węzłowato powiem ci com dziś rano na moje uszy słyszała. Chciałam sobie pożartować z Achingerowej i mówię jej: Ej coby to też było gdyby kasztelan chciał się z wami żenić...

Kasztelan zerwał się blady od stołu.

— Ale siedźże. siedź tatku Żeligo niech dokończę. Wiesz co mi ona odpowiedziała, nauczyłam się na pamięć, powiem ci: „Dobrodziejko, matko moja! czyżbym ja śmiała myślą nawet sięgnąć tak wysoko? Ja go kocham, więcej powiem, ja go czczę, ja bez niego żyć już nie potrafię... ale czyż to może nawet być, żeby on pomyślał ze mną się ożenić. A! nie! nie! to niepodobna! Powiedzcie mu, niech mnie sobie weźmie choćby za sługę, za klucznicę. abym się na niego patrzeć i głos jego słyszeć mogła.“

Kasztelan począł w ręcę całować Barcińską, ale głosu mu brakło na odpowiedź, rzekł tylko.

— Mogęż ja jej szczęście zapewnić?!

Tak począwszy już Barcińscy łatwo doprowadzili do tego, że się Żeliga oświadczył, że małżeństwo omówionem zostało, i w miesiąc potem w wiejskim kościołku przy świadkach niewielu stanęli do ślubu. Sam Żeliga żądał aby żona jego w włościańskim swym stroju przyszła do ołtarza. Wdowie wesele odbyło się jak zwykle cicho i bez wystawy, państwo młodzi zaraz na zajutrz do dóbr kasztelana odjechali.

W Warszawie dziwiono się dosyć nowemu małżeństwu kasztelana, ale nie wiele o niem mówiono, gdyż i o samym kasztelanie ludzie nieco zapomnieli, od lat kilku go nie widując. Wielu się zdumiało posłyszawszy nazwisko to, bo byli pewni że umarł.

Tylko biednym Barcińskim wyszło to nie na dobre, bo się sami jedni zostali, ale stolnikowa miała teraz do opowiadania: jak to ona zręcznie potrafiła zbliżyć ich i niemal zmusić do ślubu, — do którego gdyby nie ja — mówiła — dalipan i za lat dwa by jeszcze nie przyszło. A stolnik dodawał: — Pani Marcinowa z niczego tak nie jest dumną, jak że chłopkę wydała za senatora, a bodaj czy to nie pierwszy przykład, daj tylko Boże szczęśliwy.

Koniec.

KILKA SŁÓW

O MALARSTWIE

Odczyt Henryka Rodakowskiego.

Porywam się do niewłaściwego sobie zadania, gdy bez palety i penzla w ręku, ku wam się zwracam. Lecz doznawałem zawsze, w grodzie moim rodzinnym tak łaskawego sądu w dziedzinie sztuki, że nie waham się was prosić, byście i tu, z tą samą pobłażliwością wysłuchać mnie raczyli. A liczę także i na sztukę, która będzie przedmiotem mego przemówienia, że dla moich wysileń zjedna względy serc waszych, które tylko szlachetny popęd ku dobroczynnemu celowi, tak licznie w tej sali zgromadził, i którym zawdzięczam zaszczyt mówienia przed gronem, stanowiącem ozdobę i urok miasta naszego. Za wspaniały wasz datek i wsparcie, niech mi wolno będzie imieniem ubogich najgłębsze i najgorętsze złożyć wam podziękowanie.

Odkąd malarze Polacy pochlebne a nawet zaszczytne zajmują stanowisko w sztuce europejskiej, interes dla sztuki w kraju naszym żywo się rozwinął. Ze zwykłym nam entuzyazmem, gorąco, z radością serc naszych rzuciliśmy się w podziwianie. Lecz podziwianie nie jest znawstwem, a artystom by się czuć swobodnie w swoim żywiole, pośród narodu swego, potrzeba nietylko poparcia rządu i wspaniałych mecenasów, ale publiczności, która umiałaby ocenić ich utwory, któraby byłaby zdolną zrozumieć i odczuć wszystkie odcienia i zamiary jakie artysta w swoje dzieło włożył, któraby się niekontentowała bajeczką przez malarza-opowiadaną, lecz szukała głębszego znaczenia sztuki, a wykształcona na wielkich wzorach, uznała wysilenia i dążności najsubtelniejsze. Jednem słowem takiej, któraby miała wytrawne o sztuce zdanie. Takiej publiczności Peryklesowskiej, jaką były Włochy w 16tem stuleciu, nie można z ziemi wywołać, chyba Mojżeszowem uderzeniem o skałę. Bo jak wszelkie znawstwo, tak i znawstwo sztuki składa się z dwóch części: z wrodzonego usposobienia, i z nabytej wiedzy. Jakim że sposobem, w naszym ze sztuki ogołoconym kraju, uzyskać tego wykształcenia? Gdzie się nauczyć różnicy między Fra Angelico a Rembrandtem, Rafaelem a Rubensem? Gdzie nabyć tej wytrawności, która daje miarę w sądzie? Tę miarę, która dla prawdziwego artysty jest większem zadowoleniem, aniżeli wszystkie hiperboliczne porównywania z Michałem Archaniołem, lub innym niedoścignionym jeniuszem, tylko pracą nabyć można, wykształceniem poczucia sztuki do świadomości.

Pozwólcie mi rozwinąć niektóre myśli w tym względzie. Uczynię to jak najkróciej, by nie nadużywać łaskawej waszej cierpliwości. Zastanowimy się najpierw nad warunkami i wpływami, jakim sztuka w ogóle podlega. Więc śledzić będziemy jej początki, jej rozwój i jej charakter dzisiejszy. Po drugie przypatrzymy się jej istocie i postaramy się dociec co stanowi jej odrębną naturę. Nareszcie zdamy sobie sprawę z różnych jej kierunków i odcieni; więc pomówimy o kolorystach, o rysownikach i o stylu. A na końcu zobaczymy, co z wszystkich tych spostrzeżeń wynika dla naszego sądu o sztuce dzisiejszej.

Filozofia sztuki nas uczy, że jak kwiat tylko te kształty i barwy przyjmuje, których mu ziemia i klimat dozwalają, tak sztuka i jej przedstawiciele głównie streszczają i personifikują te idee, któremi społeczeństwo, pośród którego tworzyli, niejako umysłowo oddychało. Przejdźmy się po dziedzinie sztuki prowadzeni historyą od wieku do wieku, a znajdziemy tego wybitne dowody. Pomijam już sztukę dawną i starożytną, egipskie piramidy, świadczące o olbrzymim Faraonów despotyzmie. Pomijam heleńskie arcydzieła, które w najszczęśliwszym zbiegu fizycznych i moralnych warunków, w nieporównanych proporcyach, swym błogim a swobodnym wdziękiem i wielkością, aż do nas przesyłają blask pogodnej filozofii szczęśliwej Grecyi. Pomijam potężną sztukę pogańskiego Rzymu. Przypatrzmy się tylko sztuce chrześciańskiej, a zobaczymy, jak wieki myśl swoją w niej objawiają.

Po rozbiciu rzymskiej potęgi wszystko pogrążone w dzicz i ciemnotę, a gdy w świecie tylko gwałt i zaburzenie, a żadna przewodnicząca myśl nie jaśnieje, to też sztuka milczy. Tylko wiara jest tą nitką Aryadny, za którą ludzkość, jak dziecko z ciemnej jaskini, szuka swej drogi ku światłu cywilizacyi. To też dziecinne są pierwsze kroki chrześciańskiej sztuki, i od katakumb zacząwszy długa noc pokrywa wszelki jej rozwój. Dopiero w wiekach średnich tajemniczością i poetyckim bohaterstwem nacechowanych, duch ludzki, z głębi ucisku jak westchnienia ku niebu, strzały swych tumów ku błękitowi piętrzy. Cała sztuka owych czasów, kościołom i klasztorom poświęcona, oddycha najgłębszym ascetyzmem, najgorętszem nabożeństwem. Mistycyzm i dziecinna wierność tradycyi kościelnej towarzyszą jej do 14go wieku, a gdy w niej napotykamy myśl świecką, to ma ona wybitny charakter feudalnych czasów. A przecież już tu możemy zauważyć różnicę gotyku niemieckiego od włoskiej sztuki, która pod względnie mniejszym uciskiem, instynktem i podaniem łacińskiem wiedziona, swobodniej się rozwija. Włochy idąc na czele rozwoju duchowego Europy, dochodzą po kilkowiekowej pracy, mając w 15tem stuleciu artystów jak Fra Angelico i Masaccio, do najwyższego rozkwitu sztuki w szesnastem stuleciu. Nigdy Europa nie oglądała takiej uczty ducha jaką Florencya, Rzym, Wenecya i całe Włochy przedstawiały w owych czasach.

Szereg geniuszów i pierwszorzędnych artystów świata, we wszystkich gałęziach sztuki, stanowi nieprzerwany łańcuch, który przez półtora wieku prawie, ludzkość swemi dziełami zaszczyca i to ognisko tworzy, które przez wieki jeszcze swymi promieniami wszelką sztukę od wschodu do zachodu aż po nasze czasy ogrzewa i ożywia. Niepodobna ich wyliczyć od Leonarda do Murilla, dość wymienić Perugina, Rafaela, Michała Anioła, Tycyana, by nam się przed oczyma rozwinął obraz najwspanialszych arcydzieł, jakie sztuka chrześciańska wydała. Otóż i te geniusze, które się zdają prowadzić wiek, są tylko najwznioślejszym wyrazem swego czasu. Wiara i religijna myśl górują w ich dziełach. Lecz już nie ta naiwna wiara Cimabuego i Giotta, ale różnymi prądami biczowana, i nosząca na swych potężnych biodrach przyszłą reformacyą. To też Rafael obok Dysputy św. Sakramentu, wśród Watykanu maluje szkołę Ateńską, a Michał Anioł powiewem wykopanych dzieł pogaństwa zniewolony, tworzy postacie chrześciańskie, przypominające Jowisza i bohaterów Iliady. Cała południowa Europa bierze udział w tym rozkwicie artyzmu. Velasquez i Murillo urokiem swej palety hiszpańskiem słońcem opromienionej, świat oczarowują. A siła tego prądu jest taka, że

w dalekim północnym kraju rozżarza geniusz Rubensa, po którym jasno widać, że i o 100 lat po Vincim się rodził i że ze śnieżnej flamandzkiej piersi ssał obfite mleko bujnego kraju zamożnych kupców. Religia zstąpiła z wyżyn mistycyzmu i kontrowersyi na tory polityki. Henryk IV Paryż mszą okupuje. Protestantyzm wyklucza sztukę ze swych świątyń. To też allegorye zastępują ex vota; a Maryą Medycejską stawia Rubens pod inwokacyą Zeusa i Wenery, a gdy maluje Madonnę otoczoną aniołkami, to nam ich przedstawia jako rój najśliczniejszych różowych i złotowłosych dziatek, w których pulchnych, mistrzowską ręką malowanych ciałkach słońce roskosznie igra.

W jak innym jesteśmy czasie i kraju, jak daleko już od aniołów Fra Angelica! ale zawsze jeszcze w zastępie tych olbrzymów, którymi ludzkość się szczyci, i którym ich czas zawdzięcza uroczą nazwę odrodzenia.

Nieporównane włoskie Cinquecento!

Gdy się tu z niemi po raz pierwszy spotykam i jak olśniony się czuję tym przepychem artystycznym, nie mogę się oprzeć uczuciu głębokiego wzruszenia. Oto są kapłani sztuki. Oni w tak wysokiej tworzą doskonałości, ich wielkość tak szczytnie ku nieśmiertelności zmierza, że późniejszym wiekom tylko kornie czoła uginać. Oni są dla artystów wszystkich czasów owe promienne „In hoc signo vinces!“ Jedyną gwiazdą, która prowadzi do zbawienia. I nie zapominajmy nigdy, że gdy nam przychodzi o sztuce sądzić, to pośród nich musimy zasiąść, ich duchem się przejąć, by sprawiedliwy wydać wyrok.

Po tem wysileniu sztuka blednie. Dzieła Caracciów już tylko są rezultatem refleksyi, talentu i chęci wyrównania poprzednikom, ale nie tym zdrojem, płynącym pełnym korytem ożywiającym długie wieki, jakim były geniusze odrodzenia. Szkoła Bolońska i dalej w energii bujający Salvator Rosa nie są w stanie odzyskać dla sztuki włoskiej dawniejszej świetności.

Rembrandt wprawdzie, swym tajemniczym jeniuszem oświeca północ blaskiem swej palety, jak złoty, szparą przedzierający się, a milionem brylantowego proszku przesypany promień słońca. Lecz mimo jego potęgi, holenderska sztuka w kiermaszach i scenach karczemnych, mimo dowcipu Teniersa i elegancyi Metzu i Terburga nie może się wznieść do wysokości starszej siostry Włoszki. Trzydziestoletnia wojna pustoszy środkową Europę i wszelki dobrobyt niszczy. Berło oświaty i przewodnictwa w inne przechodzi ręce, a w epoce Ludwika XIV i w sztuce czuć nadęty patos Lebruna, zastępujący głębokość i potęgę w poezji. Sztuka idąc dalej śladem monarchii francuskiej, mając talenta jak Watteau i Bouchér, przecież pod wpływem smaku i ducha czasu, dochodzi do zupełnej rozwiązłości, aż staje przed rewolucyą francuską. Z ducha tego wstrząśnienia społeczeństwa, wypływa zwrot sztuki francuskiej ku klasycyzmowi; czego najwybitniejszym wyrazem są wysilenia i szkoła Dawida. Śród nich dzwon czasu wybija wiek dziewiętnasty. Na skazówce naszego stulecia stoi telegraficznym lakonizmem wypisane hasło „Pozytywizm!“ Dopiero w połowie tegoż stulecia sztuka w Europie nową znajduje żywotność, i w różne kierunki tryska niepospolitą siłą.

Ingres i Owerbeck utrzymują wprawdzie podanie Rafaelowskie, lecz ze zwycięstwem rewolucji roku 30go we Francyi i Belgii, romantyzm Eugeniusza Delacroix, wzniosła dramatyczność Delarocha, dowcipny realizm Verneta bujnie rozkwitają po za Renem, jako reakcya przeciw zimnemu klasycyzmowi pierwszego cesarstwa. W Niemczech filozofia Corneliusa i Kaulbacha opanowuje dziedzinę sztuki. A tendencya całego uczonego świata ku formie indukcyjnej, rzuca swe sidła w pogoń za niesforną córą, by bujającą za niebieskim ideałem, skrępować w ramy materyalnej prawdy, i dokładności lokalnej. Prawda historyczna staje się jej celem, a realizm jej bożyszczem. Wartość obrazu krytyka często sądzi wedle zapatrywania się politycznego malarza, na wypadki jakie przedstawia, wedle mniej lub więcej głębokiej filozofii, jaką napotyka, a strona prawdziwie artystyczna, poczucie piękna, ta która głównem, prawie wyłącznem powinna być stanowiskiem krytyki, często zupełnie ominięta. My z malarza, historyka chcemy robić, zapominając zupełnie, że sztuka jest wolną Parnasu córką. Że ona żadną odpowiedzialnością prawdy lokalnej, jakby pętami uwiązaną nie jest; że jej wolno jak poezyi, z jakiegokolwiek przedmiotu wysnuć złotą przędzę swego marzenia; że jedyną prawdą, na którą ona oko ma zwrócone, jest prawda artystyczna, to znaczy prawda uczuciowa. To też wszystkie anachronizmy wielkich mistrzów są prawdziwsze niż dowiedzione dokładności naszego czasu, a Rafaelowski Abraham nieporównanie właściwszy w swym płaszczu i w swej tunice, aniżeli Vernetowski Izaak z Rebeką, mimo wielbłąda i stroju wziętego z puszczy. Gdybym się tu chciał w przykłady zapuszczać, to bym nie był w stanie wyliczyć co się myśli nasuwa. Wszystkie uczty biblijne Veronesa w stroju 16go wieku, a przecież to arcydzieła niezaprzeczone sztuki. Ale Michał Anioł, Rafael, Tycyan i Tintoretto w najświetniejszych swych dziełach, które świat znawców do dziś dnia z pokorą i nabożeństwem uwielbia, mało się troszczą o dokładność lokalną. Ale za to, co za wspaniałe postacie! co za nieporównane proporcye, co za wdzięk lub potęga, już nie do tego lub owego stulecia należące, ale do całej ludzkości w najwyższem swem pojęciu! O to prawda artystyczna! W innej więc dziedzinie jej szukać trzeba, nie w kronikach, nie w kroju sukien lub w filozoficznych formułkach. W dziedzinie, której miara leży w uczuciu naszem, a sędzia w duszy zamieszkuje.

Oto kilkoma rysami naszkicowany obraz przebiegu sztuki. A choć tak ogólnie tylko rzucony, przecież nam dowodzi, że sztuka odbija ducha czasu w jakim powstaje. Że prąd myśli i dążności wieku, artystów w swój wir porywa i na wskroś przenika. Bo widzieliśmy, że dopiero w średnich wiekach sztuka na jaw wypływa, i że wieki religijnych krucyat i feudalnych gwałtów, wyraźnie w ascetyzmie i mistycyzmie malarstwa się odbijają. Że w dalszym rozwoju trzymająć się wzrostu umysłowego Włoch, sztuka rozkwita w 16 stuleciu w kwiat najwspanialszy. Czas, mający w sobie jeszcze energię życia średnich wieków, a ogładę i potrzebę umysłowej rozkoszy cywilizacyi, czas ciężarny reformacyą, a świeżem wykopaniem antyków do Grecyi zbliżony, znajduje w genialnych mężach tłumaczów dążności całego społeczeństwa. Że dalej Europa wyzwoliwszy się z pod supremacyi papieskiej i wszechwładztwa hiszpańskiego i w sztuce pod wpływem protestantyzmu, objawia swoją dążność ku realizmowi. Richelieu usiłuje przeprowadzić rozdzielenie celów świeckich od kościelnych, a i w sztuce usuwa się pierwiastek religijny z dążności artystycznych. Holandya swym zmysłem kupieckim tworzy sztukę zupełnie realistyczną rodzajową i pejzaż. Widzieliśmy jak powiew ducha epoki Ludwika XIV i sztukę przenika. Jak dalej rozwiązłość obyczajów i smaku sztukę prowadzą aż po koniec 18go wieku. Postrzegliśmy wybitny wpływ rewolucyi francuskiej. A widzieliśmy nareszcie jak w naszem stuleciu wszystko dąży ku realizmowi. W polityce siła góruje nad prawem. W nauce statystyka z zimnemi datami staje się jedyną podstawą wiedzy. Poszukiwanie praw przyrody tylko dowiedzione fakta przyjmuje za premissy wniosków. Forma indukcyjna dzisiaj filozofią historyi zupełnie przekształciła. Bezwyznaniowość, jak powódź przez wszystkie szpary wciska się w gmach społeczny, by zmyć i zniszczyć do szczętu wszystko, co dawniej serce ludzkie czciło i kochało, a te obrachowania, te poszukiwania i ta trzeźwość ogólna, także sztukę w swój prąd wciągają. Jak wstrętna Parka w obrazie Michała Anioła, nożycami skróca nitkę życia, tak wiek nasz, swym racyonalizmem, obcina sztuce tęczowe skrzydła idealizmu. Do skały swej loiki ją przykuwa, jak drugą Andromedę, by mu nieuleciała bez kontroli, w krainę marzeń i idealnych utworów. (C. d. n.)

POWSTANIE POLSKIE
nad
BAJKAŁEM.

Z pamiętników naocznego świadka Z. O.

„Lepsza nam kula niźli takie życie!“
Rzekli, powstali, rozbroili zbirów,
A gdy broń mieli, to w pierwszym zachwycie
Błysnęła ku nim ziemia łez i kirów.
Potem pustynia, skąd nie ma wychodu,
Bój gdzie szczęśliwsi giną, — męki głodu,
I znowu dawne pęta. Sąd otwarty...
Dla katów spisy żeru,.. Czy słyszycie?
Padł strzał — i drugi — i trzeci — i czwarty!

Salwo męczeńska! Bądź dla tych zbudzeniem
Których sumienia głos syren utula.
A tym co naród chcą zbawiać spodleniem
Powiedz: Niż takie życie — lepsza kula!
Powiedz: Na sprzedaż nie wolno nikomu
Wynosić słupów ze wspólnego domu.
By w ciasnem szczęściu na chwilę utonąć.
Niźli obcego ciała stać się cieniem,
Lepiej jak gwiazda w własnym ogniu spłonąć!

K. Ujejski. Na zgon rozstrzelanych w Irkucku.

Prawie w pośrodku posiadłości moskiewskich w Azyi, lecz w miejscowości zbliżonej do granic Chińskich — od północnego wschodu ku południowemu zachodowi — rozlewa się jezioro, przez tamecznych mieszkańców nazwane *Morzem-Świętem* w ogóle zaś znane pod nazwą *Bajkału*.

Ten wielki szmat wody ujęty od południa i wschodu w ramy odprysków gór Ałtajskich, z północy okolony dziewiczemi puszczami, pełen ponurej grozy choć nie bez powabów rodzajowych, otaczają wieńcem osady, które przybysz Moskal pozakładał obok rozrzuconych *jurtów* buryackich na wzór *rasijskich garadow.* Widzimy też tam z pozorem miast zbudowane: Sielenginsk, Werchnioudińsk, Listwienniczna, Kułtuk, Pussolsk i wiele innych osad drobnych, jak Murym i Miszyszycha. Listwienniczna na zachodnim, a Pussolsk na wschodnim brzegu, są punktami przystaniowemi dla bajkalskiej żeglugi.

Zciekające z gór drobne a liczne strumienie nim znikną w łonie martwego Bajkału, — rozmiękczają nadbrzeża, tworząc odwieczne bagniska, w których cedry i modrzewie starością zwalone, znajdują dla siebie cmentarzyska —

układając w taki sposób warstwy przegniłe roślinnych organizmów.

W tej więc części nadbajkalskiej Syberyi będącej węzłem całego życia, jakie może z siebie wydać owa niewielka ludność zasiedlająca niezmierzone przestrzenie wschodniej Syberyi, w miejscu gdzie jestześrodkowana cała władza polityczna i administracyjna a miasto Irkuck stolicą i źródłem oświaty i cywilicacyi, tu poczęto osiedlać Polaków gnieżdżąc ich po więzieniach, lochach, fabrykach, i kopalniach, słowem wszędzie tam, — gdzie najwięcej można było znieść i wycierpieć.

Pomiędzy wschodnią a zachodnią częścią Syberyi, głównym traktem jest właśnie jezioro Bajkalskie, po którem z pomocą kilku parowców holujących różnej wielkości barże*) — odbywa się polityczno handlowa cyrkulacya z Chinami, a państwowo-administracyjna z ziemiami nadamurskiemi z Kamczatką i Mikołajewskiem, które mają doniosłe znaczenie strategiczne na morzach wschodnich, a przezto są bardzo ważnym punktem dla zaborczej polityki Caratu. Ale ten jedyny środek komunikacyjny, niedostateczny, a warunki nadbrzeżnej ziemi o jakich powyżej wspomniano nie zbyt sprzyjająco wpływają na rozwój rozrzuconych osad, gdyż czuć się daje dotkliwy brak drogi lądowej. A lubo na około jeziora z potrzebą i czasem utworzył się rodzaj drogi noszącej nawet nazwę *krugomorskiej*, i chociaż po niej toczą się nieraz skrzypiące kibitki wyładowane cybikami**) herbaty lub solonemi rybami, to jednak droga ta prowadząca wybrzeżem, jest dość pustą, bo przedstawia niebezpieczeństwa w jej przebyciu. A użycie jej staje się nieraz koniecznością jak naprzykład w peryodach zamarzania i topnienia lodów Bajkału i wówczas to czuć się daje zupełny zastój tak w politycznych jak i handlowych stosunkach.

W interesie dobrze zrozumianym powstał zatem projekt w zarządach Irkuckich, ażeby drogę lądową na około morza poprowadzić. Lecz urzeczywistnienie tego projektu choć pożądane, nie było łatwem do wykonania, bo chociaż arterye całej wschodniej i poniekąd zachodniej Syberyi zbierają się w okolicach nadbajkalskich, są one jednakże tak nieznaczącej natury, że nikną zupełnie, gdy się im policzyć trzeba z przestrzenią. Zebrać ręce do wykonania podobnego zamiaru było trudnem, zarówno jak i trudnem pozostanie zaludnienie niewolnikami tych imponujących pustych obszarów ziemi.

Powstanie Polski 1863 r. roztrąciło nareszcie ów szkopuł przeszkód ekonomicznych. Każdy dzień dostarczał setkami wydartych Polskim rodzinom ojców, braci, synów; znalazły się więc potrzebne ręce do zrealizowania cywilizacyjnego dzieła i podany wniosek przez Generał-gubernatora Korsakowa usypania drogi nadbrzeżnej, otrzymał affirmatywę w Petersburgu. Odtąd kopalnie Nerczyńskie przepełniać się przestały, a w miejsce ich okolice Bajkału zastawiły gościnną biesiadę Polskim katorżnikom, i na długo w pamięci więźniów pozostały!

Nim jednakże przystąpimy do dalszych opisów scen nad Bajkałem, zajrzyjmy choć pobieżnie w warunki bytu które otoczyły więźnia, gdy raz przekroczył granice Europy, gdy mu Ural roztworzył wnijście do miejsc niedoli i śmierci i za nim na zawsze zatrzasnął wrota powrotu na ziemię rodzinną.

Chcąc mówić o tych warunkach, musimy je rozdzielić na dwojakie: to jest, na moralne wynikające z natury intellektualnej człowieka, i na czysto materyalne, odczute przez każdego bez względu na stopień rozwinięcia jego uczuć i myśli.

Co do moralnego stanu niech nikt nie podejrzywa o przesadę w ocenieniu takowego, tem więcej, gdy każdemu wiadomo, że i Syberya jest ziemią na której obowiązują pewne prawa społeczne, że i tam jest jakaś ruchliwość życia, na której opiera się stosunek wzajemności ekonomicznej a co najwięcej, że i Syberya ukrywa w łonie swojem płody, kruszce, których pozyskanie nie wiele na pozór przeszkód napotyka a przed którymi jako przed najważniejszym czynnikiem bytu, świat cały zgina kolana; nareszcie, że i pod względem powabów przyrody, niejedna znajduje się miejscowość, godna pochwycenia pędzlem malarza.

Tak jest! wszędzie zachwyci piękno przyrody człowieka wolnego, pełnego życia i wzrok jego niestępiony uściskiem śmierci, dojrzy go nawet u stoku wulkanów! Ostrość stref ziemi, ponurość otoczeń, zniknę z przed oczów, gdy tam wola, cel, krokami człowieka skieruje!

Widzimy nęcące opisy wypraw podbiegunowych, choć w nich walka życia z śmiercią na każdym kroku wyczerpuje siły! Czyż w końcu nie dość obrazów przedstawiających ochotników rwących się namiętnie w straszliwe przygodami pozaoceanowe kraje, byle tylko celom dogodzić i otoczyć laurem sławy swoje imiona lub obładować ramiona zdobyczami swej chciwości! Wszak taki początek odkryć dokonanych; tak nieznane części świata odkryteni a bezludzia zaludnionemi zostały, i dziś nie straszą już strefy równikowe żarem atmosfery i zjadliwością klimatu, ani odwieczne mrozy biegunów nie potrafią sciąć w lody tych żądz i pragnień ludzkich stwarzających wiedzę i cywilizacyą!

Lecz cóż za różnica niewolnika przykutego łańcuchem tyranii do miejsc choćby najponętniej roztaczających majestat przyrody! Patrząc na otoczenie zamglonym wzrokiem pół-życia, przyjmować on musi z natury rzeczy odmienne wrażenia! Eskimosy z pod mroźnej północy przeprowadzeni w strony zachodu i tam otoczeni odmiennem życiem, wygodniejszem, ginęli jednak gdy odebrano im te nędzne pierwotne warunki ich bytu, ginęli, trudno powiedzieć z tęsknoty, ale z warunków niewoli sprowadzonych ich odmiennym nienaturalnem bytem. A cóż dopiero można powiedzieć o człowieku rozwiniętym pod tchnieniami cywilizacyi, wśród najdroższych otoczeń rodziny, umiejącym czuć i myśleć! Takiego człowieka życie do niedawna czynne, uczuwszy brak swojskich stosunków przemienia się nagle w wegetacyą strawiając całą istotę jego a przeradzając się tak do dna sprowadzać musi straszliwe moralne wstrząśnienia! Dzikie i zmartwiałe pustynie po których błądzą na pół do ludzi podobne gromady Ostyaków lub Tunguzów, przykucie do tych ponurych miejsc siłą władzy*) sprowadza zamęt, pulsa intellektualne słabnieją i stygną i z człowieka stworzonego do działań i czynów staje się nakoniec martwa massa, na zawsze dla społeczeństwa stracona, poruszająca się odtąd, automatycznie!

Czarna ta strona życia niewolnika na Syberji nie jest przesadzoną, a Moskwa jak każdy jej podobny nienawistnik ludzkości dobrze pojmuje doniosłość kary deportacyjnej, gdy takową zastępuje, jednorazowo kończącą wszystko, *karę śmierci*. (C. d. n)

Przyczynek do życiorysu

Pawła Piaseckiego

PODAŁ DR. *ZYGMUNT CELICHOWSKI.*

W *Przeglądzie Lwowskim* w poszytach 3—16 z r. 1876 a później także w osobnej odbitce ogłosił p. Ludwik Zarewicz obszerną rozprawę o Andrzeju z Piasków Boboli, podkomorzym Koronnym Zygmunta III, której głównym celem była obrona Jezuitów i zwolennika ich Boboli przeciwko surowym sądom Pawła Piaseckiego znajdującym się w tegoż *Kronice.* Pan Zarewicz nie pierwszym był, co skruszył kopję w obronie Jezuitów przeciwko zarzutom biskupa przemyskiego; wyprzedził go w tem zasłużony wielce śp. Juljan Bartoszewicz, który w obszernem studyum zamieszczonem jako wstęp przy polskiem wydaniu *Kroniki* w r. 1870 uderzył gwałtownie na autora *Kroniki*, usiłując strącić go z piedestału, na jakim go stawiali tak współcześni jak potomni sędziowie, począwszy od Zyznowskiego i Kochowskiego aż do Józefa Maksym. Ossolińskiego i późniejszych. Sam Bartoszewicz łagodniej jeszcze sądził Piaseckiego w r. 1861 w wydanej przezsiebie *Historyi Literatury.* Piasecki jest tam jeszcze „biskupem światłym i uczonym“, który „za życia spotkał wielu niechętnych, którzy mu nawet w Rzymie szkodzili“, a to z powodu, że jedyny z biskupów nie miał nic przeciwko projektowi małżeństwa Władysława IV z protestantką jako też „że nicuje ostro Jezuitów;“ zarzuca mu wprawdzie Bartoszewicz, że „pokazuje się stronnym i często namiętnym,“ jednakże „Księga historyczna Piaseckiego znakomitem jest dziełem,“ a sam Piasecki „czasem tylko należy do tego okresu, ale nie wyobrażeniami, które ma wyższe nad wiek.“

W dziewięć lat później zaostrzył Bartoszewicz swe pióro — i jak Piasecki ostro nicuje Jezuitów, tak Bartoszewicz na wylot przenicował samego Piaseckiego. W miejsce „biskupa światłego i uczonego, który ma wyobrażenia „nad wiek“ ukazuje się człowiek nizkiego „bodaj czy i szlacheckiego“ pochodzenia otaczający się mimo

---

*) Barże są to olbrzymie galary z żaglami, służące do przewozu towarów. Są one także używane do przewozu większych ilości ludzi jak np. więźniów — w którym to razie cały pokład takiej arki otoczony jest silnemi, gęsto umocowanemi sztachetami (wysok. 8 do 10 stóp). Więzienne barże zwykle są malowane na czarno — to też widok zdala takiego potworu, płynącego spokojnie po rzekach syberyjskich, unoszącego z sobą skazanych na ciężkie roboty — nawet w najobojętniejszym wywołuje ponurą posępność i jakiś wyraz żałoby.

**) Cybiki są to paki ułożone z rogoży, obszyte skórą bydlęcą — w nie wkładają od jednego do dwóch pudów herbaty (blisko 80 funtów). Tak opakowana herbata dostaje się lądem z Chin przez Syberyą do Europy,

*) więzień wysłany na Syberyą podług praw istniejących nie może więcej powrócić do stron rodzinnych; leży to w systemie zaludnienia pustyń azyatyckich. Liczba lat na jaką więzień do robót ciężkich (katorżnych) skazanym zostaje, nie oznacza, że po ich przebyciu skazaniec powraca do Europy, ale jest owym czasem jaki się przepędzić ma w kopalniach, fabrykach lub prostych więzieniach (tiurmy). Po odsiedzeniu lat kary, skazaniec wypuszczonym zostaje na osiedlenie (pasielenie) osiągając prawa niższe jednakże od miejscowych mużyków, jednem słowem są to prawa, które gdyby literalnie przestrzegano, to pozycya posieleńca byłaby o wiele nieznośniejszą od położenia więźnia w ciężkich robotach.

tego herbami, pnący się na wyższe stopnie hierarchii duchownej nie zasługą, lecz intrygami i „nastawianiem się“ królowi, skąpy aż do sknerstwa, goniący za groszem i tłustym chlebem kościelnym wszelkiemi drogami i sposobami, łapiący prebendy wbrew przepisom kanonicznym, kortezan, biskup jak najgorszy, przeniewierca, istny „Lisowczyk duchowny“.

Pan Zarewicz nie pominął żadnego zarzutu, żadnego argumentu użytego przez swego poprzednika zrzuconego z piedestału autora *Kroniki* porąbał jeszcze na drobniejsze kawałki z których wystawił niebotyczny pomnik panu Podkomorzemu koronnemu, Andrzejowi z Piasków Boboli. Nie naszem zadaniem wdawać się w ocenę metody p. Zarewicza, który np. nie wierzy Zyznowskiemu, piszącemu pochwalnie o Piaseckim w panegiryku, a pochwały dla Boboli czerpie sam z panegiryku i to z dziełka jezuity Bembusa wydanego pod tytułem: „*Wizerunek szlachcica prawdziwego*,“jako też z mowy pogrzebowej Szczawińskiego; nie mamy też zamiaru polemizować ze znakomitym skądinąd badaczem naszej przeszłości, jakim był śp. Juljan Bartoszewicz. Piasecki zasługuje na to, aby, mówiąc słowami p. Zarewicza, „któryś z badaczy ojczystych zająć się chciał krytycznem całej *Kroniki* opracowaniem, czego dotąd z niemałym dla historyi naszej uszczerbkiem napróżno wyglądamy,“ zasługuje na to, aby się doczekał sam sumiennego a bezstronnego biografa i krytyka. Na panegirykach tak samo jak na paszkwilach historya mało lub nic nie zyskuje.

Zanim jednakże znajdzie się taki badacz, który się zechce podjąć urzędu bezstronnego sędziego i będzie posiadał potrzebne ku temu kwalifikacye, nie zawadzi zbierać materyały, mogące się przyczynić w czemkolwiek do rozjaśnienia stronniczą namiętnością zaciemnionej sprawy.

W tej myśli postanowiliśmy ogłosić jako przyczynek do życiorysu Piaseckiego i antagonizmu jego z zakonem Jezuitów list znajdujący się w zbiorze rękopismów Biblioteki Kórnickiej. List ten znajduje się wszyty w środku manuskryptu *in folio* zawierającego dokumenta do panowania Zygmunta starego, mianowicie korespondencyą tegoż króla z królewiczem Zygmuntem Augustem. Dokumenta te są kopjami z końca XVIIIgo wieku, jedynie ów list odnoszący się do Piaseckiego jest współczesny, pisany charakterem z połowy XVIIgo wieku na dwóch kartach, których brzegi tak są niestety uszkodzone, iż we wszystkich niemal wierszach braknie kilku ostatnich liter. Gdzie rekonstrukcja uszkodzonych wyrazów mogła popaść jakiejkolwiek wątpliwości oznaczaliśmy brakujące litery kropkami, lub też, wstawialiśmy dopełnienia w nawias.

Oto brzmienie rzeczonego listu z wiernem zachowaniem pisowni:

Admodum Reverende Pater

Pasquillus wszeteczny w Krakowie, w Kaliszu, w Warszawie, w Sendomirzu y tu w Kroṡnie naipierwy z waszych Klasztorów iakoby ex officina conuitiorum wyszedł na naszego Je°. Mci. Xiędza Biskupa. Są indicia wielkie, że Wmość z Xiędzem Bobolą autor tego Pasquillusa a przynamniey conscius, bo w nim period iest, któ(*ry ża*)dnym podobieństwem niemoże quadrare, tylko Wmci., abo musi bydź kto z waszych (*abo*) namniey bez wątpliwości wiecie o nim. Ktoszkolwiek iest łatwi go respons doidzie u Wmci. albo od Wmci., poniewasz y originał ztamtądże wyszedł, dla tego respons diriguię (*tamże*). A respons veritatis modestiâ temperatae, in nostro stylo exulat verborum petulantia — Pasquilla iest własność.

Nie kapłańska ani zakonnicza to, targać się na honor człowieka, wielkiego Biskupa, unctum Domini, którego nomen we wszystkiey Europie iest in ore doctorum (*et*) in veneratione. I iesteście excommunicati ipso facto. Są constitutiones Summorum Pontificum, co ipso facto decernunt incurrere excommunicationem autores, dinulgatores libellorum famosorum, tym więcy im Episcopos.

Jeżeli exulat w klasztorach pudor, gdziesz będzie na świecie? impudentissima temeritate targać się na honor cnoty białogłowy, która in viduali libertate, w dostatkach szlacheckich, przez lat kilkadziesiąt sine querela, bez namnieyszy suspiciey przymówki żyła, iakosz ante libertatem mogła bydź rospustna? a dowiedzieciesz tego od osmidziesiąt lat, Virginitatis iakiego swiadka naidziecie? na dowód takiey impudentiey mianuicie trzeba documenta literatoria ex actis publicis, bo in publicis actis piszą ią virgo. Fa (*ma*) słiszenia po tak długim wieku niewspomoże contra fidem actorum publicorum calumniatora y niemianuie, od kogo słyszał? y nieznaidzie się taki frontis perditae, coby wam poswiadczał u sądu; musiałby ex decreto iudicii szczekać pod ławą iako pies. Cósz należała ta zacna Białagłowa do Chroniki?

Cóżeście zawstydzili chronographa, że się we Zdole*) rodził? nieprzy się tego, co honoru mu nie ubliży. Małosz Biskupów zacnych na conditiach ubogich na woytostwach zrodzonych? J. M. X. Tylicki świeży pamięci na woytostwie w Kowalu urodzony, Cromer aza nie w Krakowie? Card. Hosius w Wilnie? a niecierpieli za to opprobria, trafili na feliciora tempora, nie było tak złych obmowców. A ieszcze woytostwo co iest szlachecka conditia y pewnie lepsza, nisz ta, na który Bobola urodzony. Owszem żałuie, że iey pozbył, bo chciał in rei memoriam murować tam kościół. (Dok. nast.)

*) Zdół (Wzdół) pod Wąchockiem. Dotychczas nieznane było miejsce urodzenia Piaseckiego. (przyp. wyd.)

Mania Curaciosa

obrazek z życia u wód

przez

Autora Kłopotów starego komendanta.

Odbycie pielgrzymki do wód, stało się od niejakiego czasu zwyczajem i potrzebą wszystkich, którzy mają się za wykształconych, bez względu czy ich fundusze na tego rodzaju przyjemności wystarczają.

Powiedźcie mi co znaczy porządny człowiek w porządnem towarzystwie, który choćby raz jeden nie był za granicą i który w rozmowie salonowej nie może wtrącić „jak byłem w Paryżu, mieszkając w Wenecji... i t. p. Mam przyjaciela, zresztą bardzo porządnego człowieka, który bawiąc w wagonie nieznajome damy powracające z zagranicy, rozpowiadał im o swoich przygodach w Hiszpanii.

— Zlituj się, jak ty możesz tak kłamać? — pytam go na stronie.

— Dlaczego nie mam im zaimponować: one się chwalą Szwajcaryą, niech ja będę górą, zwiedziwszy Sewillę i Alhambrę... Na Paryżu, który pewnie znają, mogłyby mię złapać, ale co do Hiszpanii jestem spokojny. Mam żal do ciebie, żeś mi przerwał opowiadanie jak się przyrządza w Kadyksie sałata, a właśnie byłem już gotów razem z Dumasem starym przeprawić się do Maroko... Szarpiąc mię za rękaw zbijasz mię z toru...

— I cóż ci z tego przyjdzie? rzeknę uśmiechnięty.

— Kto wie... ta blondynka to panna Melania Z. bardzo romantyczna i ciepła panienka; jej ładna rącia i bez długów Kopaczówka nie do pogardzenia.

Przyrzekłem temu panu być więcej dyskretnym, a tymczasem wracam do moich uwag o pielgrzymce.

Mniejsze salonowe żabki, nadstawiając do kucia swe nózie, jeżeli nie mogą wyjechać na plac z Hiszpanią jak mój przyjaciel, to niepodobna aby nie wspomniały o Karlsbadzie, a w ostateczności choć bardzo pokornie o Szczawnicy, Zakopanem lub Krynicy. — Byłby to grzech niedodarowania, formalne prostactwo zasługujące na litościwe wzruszenie ramionami.

Wiadomo, że my Polacy znowu, jesteśmy na te wszystkie drobnostki nadzwyczaj drażliwi; wiele rzeczy można nam zarzucić, ale tonu i szyku nikt nam nie odmówi — dlatego nie ma wód w Europie gdzieby podczas lata kolonii polskiej spotkać się nie zdarzyło.

I nic dziwnego: wśród tak ciężkiej pracy restauracyjnej musieliśmy odnieść szwank na zdrowiu powszechnem, nabawiliśmy się chorób, o których szczęśliwym naszym pradziadkom ani się śniło przed laty — potrzebujemy więc kuracyi, odpoczynku — wreszcie odświeżenia umysłowego. Bo kto dziś zdrów zupełnie? — Chyba starzy z dawniejszej generacyi, chyba sędziwe babunie zaopatrujące wnuków skarpetkami domowej roboty, chyba wreszcie kołatający się po dworach podolskiej szlachty rezydenci, którym robota wierszy okolicznościowych nie pozwala chorować. My sami, nasze żony, synowie, córki, a nawet kuzynki sieroty na opiece, jesteśmy tak rozstrojeni fizycznie, tak zmęczeni życiem i zapasami o chleb powszedni, że skąd wziąć to wziąć a na lato trzeba wyjechać za granicę.

Z mężczyznami, to jeszcze pół biedy — ci utrzymują się lepiej; — ale co do kobiet naszych szczególniej młodych mężatek, te wszystkie są chore bez wyjątku. Migreny, bez-krwistość, ogólne wycieńczenie, zawrót głowy, nieokreślona apatya i tym podobne dolegliwości złośliwej natury wiadome i niewiadome, są na porządku dziennym u każdej mężatki, najdalej w trzecim roku po zamążpójściu. Będąc pannami na wydaniu, kwitną jak róże, zakochanemu konkurentowi wydają się herkulesami zdrowia: trzy noce z rzędu potrafią tańczyć do upadłego, tańczyłyby i czwartą, gdyby kawalerya dotrzymała placu. Lecz niechno dostaną męża, — doktor nie wychodzi z domu; za oknem w kuchni formuje się baterya flaszek aptecznych, a pudełek po lekarstwach nazbiera się taki zapas, że przybywającym malcom nigdy zabawek do mierzenia piasku nie zabraknie.

Z mężatkami zatem rzecz skończona — wszystkie są chore, prócz tych, które nie mają za co się kurować. Ale po co wożą się panny do wód? — Na to pytanie jest jedyna steoretypowa odpowiedź: „wypada pokazać je światu.“ Towarzyskie życie domowe znika coraz bardziej, młodzi mężczyźni stronią od zabaw tego rodzaju,

kobietom przeszkadza brak odpowiedniej toalety — przyjęcia w domu wobec wymagań młodzieży, są coraz kosztowniejsze — a tu stagnacya i ciężkie czasy. Cóż więc robić z pannami na wydaniu, gdzie i komu pokazać ten biedny towar wychodzący z mody? Kupcy bławatnych sklepów mają na to sposób: dawniejsze wyroby ponętnie udrapowane stawiają za lustrzanemi szybami swych okien. Otóż taką lustrzaną szybą dla panien, są wszelkie publiczne zebrania, a każde miejsce kąpielowe, to nieustająca wystawa nowości, codziennie świeża — prawdziwa poezya życia. U wód wszyscy się bawią od rana do nocy, wszyscy weseli, przyjemni — kuracya to także swojego rodzaju zabawa dla przyjemności.

Otóż nie zapuszczając się w dalsze wywody przyczyn wędrówek letnich, wolę od razu przerzucić czytelników do Krynicy i zaproponować im przyjęcie gratysowej loży na przedstawienie jednoaktowej komedyi odegranej przez amatorów. Bądźcie spokojni, za grzeczność tę nie żądam wywołania autora, nie wymagam napisania przychylnej recenzyi do dziennika — proszę tylko o cierpliwość wysłuchania do końca; — pragnę bowiem mieć widzów dla sztuki, na którą komisye konkursowe nie zwróciły uwagi.

Rzecz dzieje się w połowie lipca, to jest w kulminacyjnym punkcie sezonu kąpielowego. Nieznośny upał od samego rana dokucza gościom tak, że z uderzeniem dziewiątej godziny Deptak jest prawie pustym, choć czeska kapela wygrywa monotonnie chrapliwe kuranty, a dwóch trębaczy osadzonych pod świerkami w przeciwległym parku, niby sztuczne echo podaje zmęczonej publiczności te boskie tony czeskiej muzyki.

Cały świat kąpielowy chroni się do mieszkań, część jego spożywa śniadanie przed hotelem Sejferta i pod Barankiem, inna, zwłaszcza poetyczne panienki, zajmuje się czytaniem romansów w cieniu drzew za dworcem kąpielowym, i tylko gromadka dzieci pod dozorem otyłej bony swawoli koło fontanny nie zważając, że kroplisty pot oblewa ich rumiane i pucołowate twarzyczki.

My odszukawszy domu pod Holofernesem, podnieśmy kurtynę.

Na lewo stoi tam drewniany piętrowy domek, jaki się zwykle w Krynicy dla ochrony od wielkiego deszczu za drogie pieniądze wynajmuje: domek ten ma jedne drzwi wiodące do ogródka, ma trzy okna na dole, a cztery na górze wraz zmisternie wykrojoną balustradą balkonu. W ogródku pod oknami stoi ławeczka, przed nią stół wkopany w ziemię, kilka krzeseł góralskiej roboty i kilka krzaków okwitłego już bzu, tulących się pod skrzydła domorosłej wierzby. W głębi sceny zielone sztachety oddzielają ten ogródek od ulicy spacerowej, na którą po kilku schodach i przez furtkę umieszczoną w tych sztachetach dostać się można.

Na owej ławeczce, opierając się łokciami na stole, siedzi młoda jeszcze i bardzo sympatycznej powierzchowności kobieta. Ubrana w eleganckim rannym szlafroku, zapuszcza melancholiczne spojrzenie pięknych czarnych oczu w przeciwległą górę lasem świerkowym porosłą, na której wierzchołku sterczy biały krzyż ręką pobożnych górali ustawiony.

Pani Matylda, a nie żadna artystka teatralna, jest wdową, ma lat dwadzieścia kilka, i mimo smętnego wzroku nie liczy się do nieszczęśliwych, choćby dlatego samego, że jest młodą i piękną. Nie, — ona rzeczywiście jest słabą, zmęczyła się ranną przechadzką — dopiero co wypiła kawę, bo właśnie stoi przed nią tacka z przyrządami do śniadania a obok niej szafirowy kubek do wody mineralnej.

Nie długo pozwolimy jej odpoczywać, bo oto z furtki ogródka, wbiega jak ptaszek młoda, czerstwa, z rumianem obliczem pokojówka, prawdziwy typ warszawskiej suberetki, której zawsze i wszędzie wesoło na świecie.

— Pani, proszę pani — woła już daleka — nasz pan Stanisław przyjechał!

— Chyba ci się przywidziało moja Fruziu — nie może być? — odpowiada ożywiając się pani Matylda.

— Ależ proszę pani przyjechał. Dopiero co wysiadł z pocztowej karety, on sam, pan Stanisław brat pani. Posługacz niesie za nim ten żółty tłumoczek, i idą tu wprost od ulicy...

Ledwie domówiła tych słów, gdy rzeczywiście ze drzwi domu wszedł młody człowiek dziarskiej i wesołej miny, a rzucając się na szyję Matyldy woła uradowany.

— Droga siostrzyczko!

— Jak się masz Stasiu? — rzecze całując go z uczuciem. — Co się to stało, że przyspieszyłeś swój przyjazd, pisałeś, że za trzy tygodnie...

— Zachorowałem — odpowiada swobodnie zdejmując z ramienia podróżną torbę i kładąc ją na stole.

— Co znowu? — wyglądasz jak pączek...

— Otóż dobrze, że przypomniałaś mi o pączku...

— Fruziu! Fruziu! — woła uchylając drzwi domu, w których jakby tylko czekała na to wezwanie, zjawia się zarumieniona pokojówka.

— Otóż to mi jest prawdziwy pączek — dodaje pan Stanisław głaszcząc ją poufale pod brodę — dalibóg świeżutki pączuś...

— Dajże pokój z temi karesami... Wstydź się Stasiu. Krynica, bardzo przyzwoite miejsce kąpielowe, zobaczy kto...

Ale pan Stanisław zdaje się nie słyszeć tych uwag siostry, i z całą swobodą mówi dalej:

— Pączusiu kochany jestem głodny jak wilk, i jeżeli nie chcesz żebym cię zjadł, każ mi dać filiżankę kawy... albo czekaj... czegoż uciekasz?... może lepiej czekolady, jeżeli można dostać.

— Biegnę do cukierni — odpowiada już we drzwiach fertyczna Fruzia — dla pana musi być wszystko.

— No, no, Fruziu, mówisz ogólnikami — rzecze grożąc jej palcem. — To wszystko ma szerokie znaczenie pamiętaj...

— Stasiu — wtrąca udając zadąsaną Matylda — robisz się strasznie romansowym i nieprzyzwoitym. Usiądźże przecie, tu obok mnie i powiedz o tej chorobie. Gdzież ona jest?

— Tu, tu droga Meciu — mówi pokazując ręką na serce.

— Taka choroba!? przestraszyłeś mię tylko... nie dobry jesteś...

— Na seryo ci mówię zakochałem się, ale to tak po same uszy, tak, że albo ona, albo żadna...

— A niechże cię uściskam mój ty amorowy braciszku — rzecze wesoło Matylda — Wyborny jesteś z twojemi miłościami... Mówże przynajmniej gdzie? kiedy? jak?

— Powiem ci w trzech słowach jak Cezar, to jest ona sobie tak może powiedzić veni, vidi, vici... Ma mnie formalnie ci mówię, ma mnie całego z duszą, z ciałem, z kościami... Blondynka, z przepysznemi szafirowemi oczami, z filuterną grzywką, z figlarnym uśmiechem..

— Z czemże jeszcze, z czem? — dopytuje się żartobliwie pani Matylda.

— Z żółtkiem! — odpowiada wchodzący w tej chwili stary Jakób z tacą, na której ustawiona filiżanka czekolady — tak, z żółtkiem — powtarza dobrowolnie — bo śmietanki zabrakło.

Ten Jakób, to sobie jest nie młody już, łysy i przygarbiony sługa pana radcy ojca rozmawiających, którego zabrano do Krynicy na czas kąpielowy, a który przebywając w tym domu lat kilkanaście, uchodzi więcej za członka familii aniżeli sługę.

— Widzisz Stasiu — rzecze Matylda, gdy stary z powagą ustawiał ową tacę przed paniczem — Jakób dobrze ci podpowiada.. No z czemże jeszcze?

— Z bułeczką proszę łaski pani, sucharków także zabrakło.

— Dajno pokój stary, niech ci się nie plecie — wtrąca pan Stanisław zabierając się do czekolady — pani się pyta o pannę, w której się zakochałem, a tobie się gada o żółtku.

— Przepraszam panicza, przepraszam... a, a, a jeżeli idzie o pannę, to pewnie bogata... samo się rozumie, że musi być z posagiem.

— Właśnie, że bez posagu — odpowiada zapijając z apetytem — mówię ci Matyldo, cud piękności, madonna Rafaela...

— A musi być zdrowa z przeproszeniem — wtrąca Jakób — bo nasz pan radca tylko o zdrowej synowej myśli. I wczoraj kiedy go rozbierałem do łóżka mówi do mnie „żeby choć ten nasz panicz wziął sobie jaką zdrową i tęgą żonę... widziałeś jakie to tu wszystkie nędzne, wymokłe... — starszy pan mówi — miłosierdzie Boże jak wyglądają."

— Ale, ale zapomniałem o ojcu, jakże się ma?

— Widzisz jaki z ciebie egoista — rzecze Matylda — ojciec znacznie lepiej, apetyt mu się poprawił.

— I mnie się kapitalnie poprawił... Jakóbie daj drugą bułkę... albo lepiej — dodaje po chwili Stanisław — przynieś dwie od razu.

Jakób wyszedł po owe bułki, a pani Matylda zająwszy miejsce obok brata, pyta ciekawie:

— Mówisz, mówisz wiele, a nie wspominasz pocoś tu przyjechał?

— Jakto po co? Gonię za swoim ideałem. Ideał do Krynicy, i ja do Krynicy...

— Więc zobaczę to cudo z filuterną grzywką?

— Naturalnie zobaczysz i będziesz tak jak ja zachwyconą. Ideał a nie dziewczyna... Wszak ty mię zawsze kochasz Madziu?

— Czy wątpisz? — odrzekła wdowa.

— Więc musisz i ją natychmiast pokochać!

— Zobaczymy.

— Bardzo cię proszę bez tych *zobaczymy*. Musisz, to samo z siebie wynika, rzecz postanowiona, bo nawet los nasz spoczywa w twojem ręku.

— Żartujesz Stasiu.

— Nie, nie jak ciebie kocham nie żartuję, daję ci słowo tylko w twojem ręku.. Ale cóż ten niedołęga bułek nie przynosi, czekolada na nic wystygnie, Fruziu, Fruziu! — woła zbliżając się do drzwi domu — a powiedz tam Jakubowi niech że daje te bułki.

— Zaraz, zaraz — odpowiada dzwięczny głos z sieni — tylko poszedł pożyczyć talerza.

— Na co mu talerza? — mówi do siebie Matylda.

— A jakże proszę pani — rzecze wchodzący Jakób z dwoma bułkami na talerzu — miałem tak w ręce przynieść, to niepolitycznie...

— A bodajże cię, jaki z ciebie służbista mój Jakóbie! — zawoła młody człowiek klepiąc go po ramieniu.

— W tej przeklętej dziurze z pozwoleniem jak ta Krynica, to nic nie ma. Słyszaneż to rzeczy takie głupie na przykład piwo sprzedają tylko na butelki... wielkie mi delicye piwo... tfu taki kraj, gdzie kufelków nie znają; w Krakowie co innego...

— Prawda — mówi zajadając Stanisław — bułki jak wołowe oczy, nie ma co ugryźć.

— Skończże już to jedzenie i mów! jestem zaciekawiona. Jakóbie zabieraj to wszystko.

Z wielką niechęcią, że mu nie pozwalają wygadać się do woli, sprząta stary lokaj przyrządy śniadaniowe i mrucząc wychodzi.

(C. d. n.)

DAREMNE ŻALE.

Daremne żale — próżny trud
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.

Świat wam nie odda idąc wstecz
Zniknionych mar szeregu —
Nie zdoła ogień ani miecz
Powstrzymać myśli w biegu.

Trzeba z żywymi naprzód iść
Po życie sięgać nowe...
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę.

Wy nie cofniecie życia fal!
Nic skargi nie pomogą —
Bezsilne gniewy! próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą.

El...y.

SZKLANNY CZŁOWIEK.

Nowella

J. LAMA.

Dzieło, które zamierzam tworzyć, nie jest mojem dziełem. Już sam pomysł jest podchwyconym, i kto wie, czy nie wyczytam wkrótce w inseratach wezwania, abym go zwrócił właścicielowi. Należy bowiem wiedzieć, że mam przyjaciela, który wyświadcza od czasu do czasu piśmiennictwu polskiemu ten zaszczyt, iż się niem czynnie zajmuje. Czynność zaś jego literacka odbywa się w sposób następujący. Przyjaciel mój bierze librę papieru, czasem dwie, siada do biurka i umaczawszy pióro z jednej strony, drugą stroną bierze je w usta, opiera łokieć na biurku, wlepia oczy w sufit, i myśli. Po upływie kwadransa, wykonywa zmianę frontu, w ten sposób, że przenosi pióro z prawej ręki do lewej, i z prawego kąta ust w lewy, poczem opiera się na lewym łokciu, wlepia oczy w sufit, i myśli dalej. Tak upływa mu drugi kwadrans, poczem rzuca pióro, i wielkiemi krokami przechadza się po pokoju. Przechadzka ta trwa pół godziny, aż nakoniec przyjaciel mój przyskakuje napowrót do biurka, pisze dużemi literami na pierwszym arkuszu papieru tytuł dzieła, podkreśla go dwa razy, zapala cygaro i wychodzi na miasto.

— Wiesz, powiada mi — piszę powieść (poemat, tragedyą, komedyą itp. stosownie do okoliczności.)

— A, winszuję! W jakimże rodzaju?

— Opowiem ci później, ale teraz musisz mi powiedzieć, jak ci się podoba tytuł: „Karyerowicz.“

— Hm, tytuł wyborny i wiele obiecujący. Pisz tylko czemprędzej.

Przyjaciel mój wraca do domu, chowa rozpoczęty „manuskrypt“ do szuflady i nazajutrz bierze świeże dwie libry papieru, poddaje je jota w jotę tej samej operacyi; co wczoraj, płodzi nowy tytuł, wychodzi na miasto, i opowiada, jak wyżej. Od dwunastu lat zadając sobie codziennie tę pracę, spłodził on już około 7000 tytułów i wyczerpał mniej więcej cały zapas tytułów, jaki możemy mieć w naszej literaturze, każdy bowiem przyzna, że jeżeli fantazya jednego człowieka z taką usilnością i konsekwencyą zwróci się do jednego przedmiotu, to już drugiemu nie zostawi pola do najmniejszego pokłosia.

Otóż, w liczbie owych 7000 tytułów był jeden, którzy brzmiał: „Człowiek ze szklannym brzuchem.“ Miała to być historja o człowieku, który przed laty żył we Lwowie, i cierpiał na chorobliwe przywidzenie, że ma brzuch szklanny, na który musi niezmiernie uważać, aby się nie stłukł. Mówią, że z czasem fiksacya ta przemieniła się w kompletne pomięszanie zmysłów, a nakoniec szaleństwo, w którem pacyent umarł. Co do mnie, słyszałem przeciwnie, że doktorowi udało się wyleczyć go z fiksacyi, w ten sposób, że pewnego razu w lutym, kiedy są najgorsze wyboje po ulicach, wsadził go do dorożki i kazał ruszyć z miejsca, co koń wyskoczy. Chory był w okropnej obawie o swój brzuch, ale doktor był nieubłaganym i wytrząsł go w ten sposób przez całą godzinę po najokropniejszych drogach. Brzuch nie stłukł się, i fiksat przekonawszy się, że był w błędzie, sam później śmiał się ze swego przywidzenia.

Jakikolwiek był koniec pacyenta, myśl zrobienia go bohaterem powieści jest wyborną. Jeżeli umarł w szaleństwie powieść skończy się smutną katastrofą, i piękne czytelniczki wypłaczą się do woli — jeżeli wyzdrowiał, powieść będzie nauką moralną, że nie potrzeba mieć przywidzeń.

A iluż to ja znałem ludzi — nie ze szklannymi brzuchami, ale na wskroś szklannych! Szklannych, nie dla tego, by który z nich był przezroczystym, ale dla tego, że każdemu zdawało się, iż gdyby wszedł w pewne kolizye z ludźmi lub stosunkami, stłukłby się jak szklanka i zginął. Z ich liczby przypomniał mi się jeden, którego znałem, i którego historyą w kilku epizodach skreślił mi pewien mój znajomy. Postanowiwszy, z małą modyfikacyą, przywłaszczyć sobie „pomysł“ mojego przyjaciela, fabrykanta tytułów, skorzystam z niego o tyle, że pod jego firmą powtórzę opowiadanie mojego znajomego wprowadzając go jako osobę opowiadającą, z powodu, że spisałem tylko dosłownie i wiernie, co mi mówił.

„Wiesz pan — mówił mój znajomy — jakie są moje wyobrażenia o różnicy między ludźmi, którą tworzy urodzenie i pochodzenie. W ośmnastym wieku, a nawet już w naszych czasach, wyobrażenia takie nazywano przesądami, i potępiano je jako wsteczne. Obecnie rehabilitował nas Darwin i cały zastęp jego wyznawców. Dziedziczność przymiotów fizycznych i umysłowych nie ulega już żadnej wątpliwości, dowiedli tego uczeni którzy nie mogą być podejrzanymi o przesądy arystokratyczne, bo są przecież filarami przeciwnego obozu, i doktryny ich wypisane są jako dewiza na sztandarze demokratycznym. Jeżeli przed wiekami, kiedy siła fizyczna, męztwo, i pewna energia ciała i umysłu dawała jednym wyższość nad drugimi, pewna liczba ludzi odznaczała się tymi przymiotami do tego stopnia, iż wywalczyła sobie odrębne, uprzywilejowane stanowisko socyalne, jeżeli następnie w skutek tego, co panowie nazywacie przesądem, a co ja w ślad za Darwinem nazwę doborem, ludzie żenili się wyłącznie z córkami rodzin równych pod względem zalet duszy i ciała własnym ich rodom, to zalety te z pokolenia szły na pokolenie, i istnieją do dzisiaj. Szlachectwo nie jest tedy jakimś nieuprawnionym i nienaturalnym wymysłem, ale ma swoje podstawy fizyologiczne, mój panie. Nie przeczę, że szlachcic może się wyrodzić, fizycznie lub moralnie, ale wiadomo, że *les exceptions prouvent la règle*. Szlachcic musi się wyrodzić, ażeby być tchórzem, łotrem, niezdarą i ciemięgą, a nieszlachcic musi się wyrodzić, ażeby być podobnym do szlachcica.

Za młodych moich czasów nie znano jeszcze Darwina, ale ten darwinizm szlachecki, który wyznaję, tem żywiej istniał w tradycyi. Unikaliśmy styczności z ludźmi od nas niższymi, a co najważniejsza, mezalianse nie były tak w modzie, jak są obecnie. Nie wiem, czy zdarzyło się raz w dziesięciu latach, by szlachcic ożenił się z nieszlachcianką, co się zaś tyczy tego, by wydał córkę za człowieka bez herbu, to było okropnością, o której niktby nie mógł był pomyśleć bez dreszczu.

Pamiętam jak dzisiaj, było to w adwencie roku 18... Ciotka moja, pani Pstrzykalska, z domu Niemirska (jedna Niemirska była za Dygowalskim, urodzonym z księżniczki Kantymirskiej, a babka mojej ciotki Niemirska była *primo voto* za Horodeckim którego brat ożenił się z kasztelanką Klusowską) owóż tedy moja ciotka przyjechała do miasta i prowadziła dom otwarty. Były w domu dwie panny obie już nie pierwszej młodości, ale jak powiadam, matka ich była z domu Niemirska, a Pstrzykalscy są herbu Wczele, z tą odmianą, że kładą na hełmie Topor, bo jeden Pstrzykalski ożeniony był z Ossolińską. O starszą, Ottylię, starał się Piłowiecki z Bączyna, ten sam co później był szambelanem i ożenił się z Krzyżtopornicką ze Zwalawy — młodsza, Klementyna, była trochę skrofuliczną i to odstręczało konkurentów, zwłaszcza gdy i posagu wiele tam nie było, bo stary nieboszczyk Pstrzykalski zaszargał majątek, a oprócz tych dwóch córek, zostawił pięciu synów. Bądź co bądź, tego roku, o którym mówię, w lecie, niejaki Leszczewski, którego dobrze znałem, poznał się u wód z Pstrzy-

kalskiemi i tak nadskakiwał Klimci, że to nie mogło być bez kozery. Ja miałem naówczas lat ośmnaście i mało mię obchodziły takie rzeczy, ale domyśliłem się, że coś się święci, bo ile razy pokazałem się u ciotki, pytała mię zawsze po parę razy co wieczora:

— Nie widziałeś pana Leszczewskiego?

— Nie, ciociu.

Za chwilę zwracała się do mojego przyjaciela, Władysława Habdank Podborskiego, z tem samem zapytaniem:

— Pana Leszczewskiego nie widziałeś pan?

— Nie pani.

Trzy tygodnie ciotka bawiła już w mieście, a jeszcze nikt z nas nie widział Leszczewskiego, raz tylko na ulicy gdy ciotka jechała powozem, spostrzegła go z daleka i kazała stanąć, ale skręcił w bok i znikł jak kamfora w przechodniej kamienicy.

Pewnego wieczora ciotka miała gości i rozmowa przy herbacie była bardzo ożywioną. Nie przeszkodziło to wszakże pani Pstrzykalskiej zapytać mię siedzącego na drugim końcu stołu:

— Nie widziałeś pana Leszczewskiego?

— Nie, ciociu.

Po chwili przyszła kolej na Władysława:

— Pana Leszczewskiego nie widziałeś pan?

— Nie pani — odparł, i po chwili dodał z pewną emfazą; Nie widziałem, i nie życzę sobie widzieć pana Leszczewskiego.

— *Mais pourquoi? C'est un charmant jeune homme*, panie Podborski!

— Człowiek, który się sprzedaje dla majątku nie jest u mnie człowiekiem — odparł Władysław.

— Jakto? Sprzedaje się? Co to ma znaczyć?

— A — zawołała pani Gromczyńska, jedna z dam obecnych, i matka pięciu dorosłych córek — p. Podborski ma słuszność. *Comment, vous ne savez pas?*

— Co? co? — zawołało dziesięć głosów naraz.

— Ależ, ten pan Leszczewski, jest po deklaracji z pann...

Tu nastąpiła gwałtowna przerwa w rozmowie, ciotka moja bowiem zakrztusiła się herbatą, a Klimci z powodu gorąca zrobiło się tak niedobrze, że musiano odprowadzić ją do jej pokoju i nie pokazała się już więcej tego wieczora. Po tej przerwie dopiero dowiedzieliśmy się, że Leszczewski żeni się z panną Willmajerówną, córką bogatego piekarza, autora rogalków, które jedliśmy z herbatą. Jeden okrzyk oburzenia rozległ się w całym pokoju. Gdyby przynajmniej ten jakiś Willmajer zwinął był interes i kupił był majątek ziemski, ale nie — piekł bułki i rogalki! Najdobitniej wyrażał się o tem Władysław, który miewał napady poetyczne i sentymentalne, i był wzorem szlachetnego młodzieńca rycerskiego stanu.

— Mniejsza o mezalians — mówił. — *Je ne partage pas ces préjugés-là*. Czas nam uwolnić się od nich. Mam zupełnie co innego do zarzucenia p. Leszczewskiemu. Panna Willmajer jest szpetną i bez wychowania, ale ma przeszło stotysięcy posagu. P. Leszczewski jest zrujnowanym, *et vous comprenez le reste*. Mojem zdaniem, mężczyzna, który się żeni dla chleba, popełnia infamię!

Niektórzy zaczęli zbijać tę skrajną opinię Władysława; byli to po większej części mężczyźni. Panie i panny przyznawały mu słuszność i wielbiły szlachetność jego uczuć. Panna Gromczyńska, trzecia z rzędu co do wieku, podała mu rękę i powiedziała mu, że jest *un chevalier du moyen âge*. Władysław był kontent z siebie.

Tymczasem, p. Leszczewski nie ożenił się z panną Willmajerówną. Stary Willmajer zbadał jego ekstrakt tabularny i przekonał się, że Leszczówka ma w stanie czynnym dwiescie morgów pola, dwieście lasu, krzaków, łąk i nieużytków, i trzysta dni pańszczyzny; w stanie biernym zaś trzydzieści pięć tysięcy długu, a oprócz tego sam p. Leszczewski obciążony jest drugą taką sumą tytułem pożyczek wekslowych. Piekarz oświadczył tedy kategorycznie, że z maryażu nic nie będzie. P. Leszczewski zapomniawszy raz, co był winien swojemu klejnotowi, zapomniał się po raz drugi, i wyzwał niedoszłego swego teścia na pojedynek.

— Pomykaj, hołyszu, pókim dobry! — zawołał Willmajer grzmiącym głosem, i podkasując rękawy. Piekarnia była blisko, a w piekarni kilkunastu czeladników, dobrze karmionych. Nie było co robić — odwrót był rzeczą, którą rozum sam nakazywał w takich warunkach.

Nie dostawszy panny Willmajerównej, i nie mogąc porąbać ani zastrzelić pana Willmajera, Leszczewski przypomniał sobie, że słyszał, co Władysław mówił o nim przy herbacie u p. Pstrzykalskiej. Jako były oficer od huzarów, był pojedynkarzem z profesji, i wskutek tego, nim jeszcze skończył się karnawał, Władysław otrzymał pewnego poranku wizytę dwóch panów, ktorzy mu oświadczyli, że p. Leszczewski dowiedziawszy iż mu p. Podborski zarzucił infamię, żąda wyjaśnień lub satysfakcji honorowej.

(C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

VIII.

Odczyty się pokończyły, w zakładach naukowych ferye, w mieście ruch przedświąteczny; gosposie się uwijają, w domu krzątanina i pełno życia na targach i w sklepach; wszyscy się przygotowują do wielkiego i najweselszego ze świąt naszych. A gdy nastąpi chwila uroczysta, niech i nam wolno będzie złożyć starym, polskim zwyczajem życzenia naszym Czytelnikom — niech się Wam, jak i nam wszystkim najprędzej ukaże owa przez tyle długich a rozpaczliwych lat niewoli oczekiwana, pożądana przez całe pokolenia, owa najuroczystsza w całem istnieniu narodu, chwila Zmartwychwstania! Niech jak najprędzej radośne Alleluja zapełni swym odgłosem powietrze z nad Niemna, Wisły i Warty i niech ta chwila nie znajdzie nas do pracy samodzielnej nieprzygotowanych, bez moralnego zasobu do życia wspólnego, bez zasobu wiedzy do zajęcia godnego stanowiska w wielkiej ludów rodzinie!

* * *

(R) Sala stowarzyszenia „Gwiazdy“ była w niedzielę widownią rozrzewniającej uroczystości. Stowarzyszeni święcili dzień imienin ukochanego swego prezesa p. Mieczysława Darowskiego, przedstawieniem amatorskiem, śpiewami i deklamacyą. Solenizant do łez wzruszony dziękował za te objawy uznania zasług jego i gorliwych chęci. I my też łączymy tu życzenia nasze, aby czcigodny weteran ten, który i na placu boju i w obywatelskiej pracy niósł sprawie narodu wszystko co miał do oddania, długo jeszcze w czerstwem zdrowiu mógł dopełniać miary położonych zasług, i widział coraz jawniejsze i obfitsze prac swych owoce. — Przedstawienie „Zemsty“ wypadło jak na amatorów wcale dobrze, chóry stowarzyszenia robią widoczne postępy.

* * *

(R) Przychodzi wreszcie do skutku instytucya, której miasto nasze niezbędnie potrzebowało. Wiadomo, jakie dzieją się nadużycia i jakie wyzyskiwanie w licznych prywatnych przedsiębiorstwach zastawowych, gdzie i najuboższa warstwa społeczeństwa naszego i wielu z klasy średniej zastawia w razie koniecznej potrzeby różnego rodzaju ruchomości. Nigdzie może lichwa nie ma tak obszernego pola popisu jak tutaj. Niezbędną jest przeto potrzebą utworzenia rzetelnej i pod publiczną kontrolą zostającej instytucyi zastawniczej. Dotychczasowe w tym kierunku usiłowania rozbijały się zwykle o brak funduszów, i to było powodem, że zamierzone utworzenie oddziału zastawniczego przy gal. kasie zaliczkowej we Lwowie, nie przyszło do skutku, a zarejestrowany przed rokiem „pierwszy dom zastawowy we Lwowie“ poprzestał na samem zaprotokołowaniu firmy. Obecnie zarejestrowane zostało stowarzyszenie o poręce nieograniczonej pod firmą: „galicyjski zakład zastawniczy i kredytowy“, którego dyrekcyą składają pp. Orzechowski, Gamrat i Kruszewski. Towarzystwo to ma już zapewnione fundusze, do których zresztą łatwo każdy przyczynić się może, udział bowiem wynosi tylko 100 zł. Jest wszelka nadzieja, że zakład ten już w najbliższym czasie rozpocznie swą pożyteczną działalność.

* * *

(R) Wobec niezbyt licznie zebranej publiczności, przeważnie z pań złożonej, miał w poniedziałek p. J. N. Gniewosz odczyt o pracy kobiet. Prelegent wykazał ekonomiczne znaczenie przemysłowej pracy kobiet, która ma przed sobą pole obszerne tem wdzięczniejsze, że bardzo wiele przedmiotów pracy kobiecej sprowadzamy z zagranicy, zamiast wyrobem ich w kraju zasilać własny nasz przemysł. Odczyt był urozmaicony okazaniem wielu tego rodzaju przedmiotów — może nieco zbyt wielu, wskutek czego prelekcya przeciągnęła się bardzo długo. Warto bardzo, ażeby z tego tak obfitego materyału wybrać to, co obecnie najlepiej zużytkowaćby można, i za pomocą stowarzyszenia pracy kobiet w życie wprowadzić. Na to jednak potrzeba funduszów — ażeby fundusze były, potrzeba liczniejszego niż dotąd udziału w tem wielce pożytecznem stowarzyszeniu, któremu wkrótce obszerniejsze uwagi poświęcimy. Ponawiamy więc wezwanie przed miesiącem już uczynione. Szanowne czytelniczki przystępujcie jak najliczniej do stowarzyszenia,

i nałóżcie na jego cele podatek na mężów np. od wygranej w karty.

* * *

(X) Czy przyjdzie do skutku projektowana kolej konna? trudno dziś orzec. Projekt wniesiony przed paru dniami do magistratu lwowskiego na pierwszy rzut oka wydaje się wcale korzystnym — nie żąda bowiem gwarancyi miasta, i oddaje po 50 latach cały zakład na własność gminy. Kolej ta ma prowadzić od dworca kolei Karola Ludwika przez Nowy Świat i ulicę kopernika na plac Maryacki, ztąd jedna linia przez ulicę Karola Ludwika, plac Gołuchowskich, Krakowski i ulicę Żółkiewską do dworca na Podzamczu — druga przez plac Maryacki, Halicki i Bernardyński ulicą Czarneckiego do połowy Łyczakowa.

* * *

(J) Przy wielkiej obfitości nowych utworów powieściowych i dramatycznych bardzo ubogo wygląda nasza twórczość muzyczna, dlatego tem radośniej witamy nowy i tak poważny utwór muzyczny, jakim jest ballada Hugo p. Jareckiego, wykonana poraz pierwszy na scenie lwowskiej 27 marca. Dlaczego kompozytor obrał sobie za temat jeden ze słabszych utworów Słowackiego, nie chcemy tego roztrząsać, wolność kompozytorska w tym względzie nie ma praw i granic, musimy tylko zanotować, zanim obszerniejsze sprawozdanie specyalne umieścimy, że ballada przyjętą była jak najsympatyczniej, najbardziej zaś podobały się oddziały trzeci i piąty, a mianowicie solo Blanki, tchnące wielką oryginalnością, i prześliczny marsz pogrzebowy.

* * *

(S) Obchód 50 letniej rocznicy śmierci Beethovena odbył się u nas w sposób przynoszący zaszczyt naszemu grodowi — przynajmniej względnie do jego sił muzykalnych, a którym przyszły jeszcze w pomoc siły literackie ze strony pana Bełzy, — jak również na poniedziałkowym muzykalnym wieczorze — przez odczyt o Beethovenie jednego z najwybitniejszych literatów tutejszej publicystyki. (Ten jednak, lubo że powszechnie tu znany, zachował anonym). Najważniejszym zaś faktem owego obchodu był poważny, bo obejmujący kilka wielkich dzieł z najważniejszych kategoryj utworów Beethovena na orkiestrę, głosy i fortepian program, co zawdzięczamy staraniom i sumiennej a umiejętnej pracy zasłużonego ze wszech miar seniora tutejszych muzyków, p. dyrektora Mikulego.

Koncert ów odbył się w wigilię obchodzonej rocznicy, tj. w niedzielę d. 25. bm. o godzinie 5ej, a pomimo dnia świątecznego, ślicznej wiosennej pogody i najprzyjemniejszej pory do spaceru, obszerna sala ratuszowa znalazła się całkowicie zapełnioną.

Do programu weszły same tylko dzieła bardzo poważne, a ze względu na naturę tego obchodu, wyłącznie minorowe — co może już było zbytecznem. Dano więc nam: Marsz z *Ruin Aten* na orkiestrę i chóry; Sonatę XIV (*Quasi una fantasia*) Cis moll, (op. 27 nr. 2) na fortepian; *Pieśń ofiarną*, na Contralto, orkiestrę i chóry, a nakoniec Symfonię C. moll (Op. 67). Na wstępie zaś p. Wład. Bełza wygłosił prześliczny, okolicznościowy wiersz na cześć owego nieśmiertelnego geniuszu. Donioșły, giętki a czysty głos, wrodzona elegancya i sympatyczność osobistości autora dopełniały bardzo przyjemnie treści wypowiedzianych przezeń wzniosłych myśli. Przez ten prolog otwarcie koncertu otrzymało cechę prawdziwie uroczystą. Po obu stronach ubranego w kwiaty i wieńce biustu Beethovena ustawione chóry, przedstawiały się bardzo dobrze.

Sonatę *quasi* u. f. grał artysta-amator p. Tch(órznicki) i odegrał ją tak, że nikt lepiej u nas uczynić tego nie jest w stanie. Zapewne, że możnaby jeszcze więcej żądać w jej *Presto agitato* które po za wszystkiemi innemi trudnościami przedstawia już ogromne szkopuły pod względem ustawicznych zmian w stopniowaniu siły. Oprócz tego wymaga ono wielkiej energii. Otóż ten rozkład i stopniowanie sił mógłyby być lepsze, a co do energii, tej zdaje nam się w grze p. Tch. za mało. Natomiast wykonanie *Allegretto* było znakomite a interpetacya pierwszego *Adagio sostenuto* istotny podziw we wszystkich wzbudziła. Beethoven tu dopisał: „*Si deve suonare tutto questo pezzo delicatissimamente e senza sordini.*“ Tak też istotnie było to odegranem; a chociaż owe nielitościwe „*senza sordini*“ utrudniało ogromnie jeszcze nie ze wszystkiem doskonałe *pianissimo*, to przychodził po trosze tu w pomoc piękny i łagodny głos fortepianu, na którym grał koncertant. Nareszcie oprócz wielkiej śpiewności i uczucia w wykonaniu tej części, uderzającem było szczególniej jasne uwydatnienie przez pana Tch. każdej frazy, każdego akkordu, każdej nawet nuty, tak, że tam żadne nawet tchnienie autora nie zginęło. Dodajmy że p. Tch. całe to dzieło grał z pamięci, a grać z pamięci Bethovena to piękne świadectwo o muzykalności wykonawcy.

Co do egzekucyi innych dzieł programu to przedewszystkiem nie należy nam zapomnieć że jeśli tu u nas za cenę gór złota niemożnaby zebrać dostatecznej liczby artystów z profesyi do wykonania całkowicie doskonałego utworów orkiestrowych Beethovena, jeżeli w Warszawie, cztery razy większej, niemożna nieraz, po za orkiestrą Wielkiego Teatru, dobrać należytego kompletu do wykonania *Septuoru*, to byłoby po prostu śmiesznem żądać u nas doskonałości w wykonywaniu całych symfonii tego mistrza, i to jeszcze przeważnie siłami amatorskiemi, jakiemi właśnie rozporządzał na tym koncercie p. dyrektor Mikuli. Ztąd naturalnie można było dostrzegać brak wprawy, brak rutyny, niewyrobienie kontrastów i pianissima, zasilnie prowadzony duet przez cello przy głosie solo w *Pieśni ofiarnej* niedostateczny pierwszy flet i pierwszy klarynet, i t. p. szczegóły. Ale bądź co bądź było i wiele dodatnich bardzo rzeczy: wiele miejsc owej pieśni, pomimo cokolwiek niedokładnego głosu w pierwszych frazach, zrobiło głębokie wrażenie, jak również *Scherzo* Symfonii i cały marsz z chórami nadzwyczajnie się podobały. To też wszyscy obecni wynieśli z tego koncertu uczucie wielkiego uznania dla p. Mikulego, a odchodząc dziękowali mu hucznemi a szczerymi oklaskami za tak dobrze pojęte obowiązki dyrektora naszego Towarzystwa Muzycznego, za krzewienie u nas najwyższej, najszczytniejszej muzyki i urabianie do niej i artystów i publiczności.

MIESZKAŃCY INNYCH ŚWIATÓW.

Pogadanka naukowa.

(*Ciąg dalszy*).

Zanim pod względem naukowym, wyrobiono sobie pojęcie o prawdziwym, a przynajmniej przybliżenie prawdziwym stanowisku ziemi naszej i człowieka w przyrodzie, błąkano się w najrozmaitszych przypuszczeniach. Nie było faktycznych podstaw, — robiono najśmielsze hipotezy przy biórku, — i naturalną jest rzeczą, że w ten sposób dochodzono do bezzasadnych, krańcowych i wręcz sprzeciwiających się wniosków. Jedni przesadni idealiści o bujnej fantazyi zapędzali się w krainę mglistych mrzonek, inni znowu, czyści materyaliści, dochodzili do równie błędnych rezultatów. *Les extremités se touchent.* Weźmy naprzykład pogląd materyalistów za istotę człowieka i jego myśli. Według nich człowiek jest retortą, w której się odbywają najrozmaitsze fizyczne i chemiczne działania, — zresztą nic więcej. Funkcye duchowe człowieka, to „wydzieliny mózgu“ zupełnie takie, jak wydzieliny potu, śliny, łez i t. p. Łatwo tak jest powiedzieć, ale czy to nam objaśnia całkowicie owe wielkie tajniki naszego myślenia, owe zagadki, które się każdemu człowiekowi, w chwilach rozmyślań nasuwają? — Bynajmniej. — Trzeba przyznać, że ten pogląd, jest jedną z dróg błędnych, na które ludzkość w walce o zdobycie wiedzy tyle już razy wchodziła i nieraz jeszcze wchodzić będzie.

Największą zasługą nowoczesnej nauki jest to, że się przekonano, iż są rzeczy nieznane i nie do poznania, i że nad takimi rzeczami łamać sobie głowy nie warto, bo to praca bezowocna. Trzeba zaś przedewszystkiem badać rzeczy najbliżej nas leżące, poznać dobrze warunki naszego zwykłego codziennego życia, i powoli coraz bardziej, od nas samych na wszystkie strony w około rozszerzać naszę wiedzę.

Kiedy już teraz wyznaczono mniej więcej człowiekowi odpowiednie miejsce w wszechświecie, i kiedy objęto myślą ten wszechświat jako całość, poznano trochę dokładniej bliższe ciała niebieskie zawieszone w przestrzeni, to koniecznem następstwem tego było pojawiające się w umysłach pytanie: czy też i inne ciała niebieskie znajdujące się w takich warunkach jak nasza ziemia, są zamieszkałe przez istoty do nas podobne, przez istoty, które nazywamy organicznemi, istoty które noszą w sobie ową wiekuistą zagadkę — życie? Myśli te zaczęły się nasuwać jeszcze gwałtowniej, kiedy Kant i Laplace postawili swą sławną hypotezę o utworzeniu się naszego układu słonecznego i kiedy ta hypoteza, z początku tylko genialny twór wyobraźni tych mężów, stała się teoryą, potwierdzoną w nowszych czasach olbrzymią ilością faktów.

Przypatrzmy się tej hipotezie z dzisiejszego stanowiska nauki. Według niej słońce nasze razem z planetami i kometami w około niej krążącemi, słowem nasz cały układ słoneczny, był niegdyś w stanie mgły nadzwyczaj rozrzedzonej w stanie tak zwanej *mgławicy*, czegoś podobnego do tych bladych obłoczków świecących, które i teraz na ziemi widzimy i z których może się z czasem utworzy coś w rodzaju słońca i planet naszych. Najdrobniejsze części tej mgły, najmniejsze drobiny, były od samego początku obdarzone siłą ogólnego ciążenia, każda cząstka starała się przyciągnąć drugą, jak magnes przy-

ciąga kawałek żelaza. Wskutek tego cała masa się zgęszczała i rozgrzewała się ogromnie i przyjęła formę kulistą a jednocześnie ta kula gazowa zaczęła się wskutek jakiejś nieznanej przyczyny obracać około pewnej osi, i to tym szybciej im się mgła więcej zgęszczała. Nareszcie z powodu siły odśrodkowej, która była bardzo silną w tym szybkim obrocie, kawały tej masy się odrywały wylatywały w przestrzeń, zgęszczały się dalej, z gazowych ciał stawały się płynnemi a nareszcie stałemi. Tak powstały wszystkie planety, a słońce nasze jest jeszcze dotąd zgęszczającą się dalej mgławicą.

Oczywiście, że póki planety były jeszcze gazowe lub płynne to i od nich wskutek obrotu odrywały się części, i tworzyły się pierścienie jak u Saturna lub ciała, które nazywamy księżycami.

W ten sposób powstały i najbardziej oddalone planety, które się oderwały od słońca wtedy, kiedy ono było bez porównania większem jak teraz, a więc z początku od tego olbrzymiego słońca odbierały więcej ciepła i światła niż obecnie.

Teraz z najdalszych planet słońce wydaje się jak gwiazda na niebie, i jego ciepło zaledwie do nich dochodzi. Do takiego stanu, do takich warunków bytu dojść musi i dojdzie kiedyś nasza ziemia.

Jakkolwiek ta hipoteza ma swoje słabe strony, to jednak ze wszystkich innych załuguje na szczególną uwagę, bo nauka znalazła wielką moc faktów na jej potwierdzenie. Weźmy naprzykład jeden. Jeżeli nasz układ powstał z jednej mgławicy, to skład wszystkich ciał powinien być jednakowy. Otóż rozbiory widmowe wykazały, że ciała niebieskie składają się z tych samych materyi co i ziemia nasza, toż samo widzimy i na meteorach, owych „posłańcach wszechświata,“ na naszą ziemię upadających.

Dziś z pewnością twierdzić możemy, że ziemia i wszystkie planety z księżycami, są dziećmi wspólnej rodzicielki — słońca.

Planety jednak, odrywając się od słońca niezabrały wiele z jego masy. Dziś jeszcze waży ono 700 razy więcej jak wszystkie planety razem wzięte. Najlepsze pojęcie o wielkości słońca da nam następujące porównanie. Gdybyśmy w środku słońca umieścili naszą ziemię, to księżyc, o 52000 mil od niej odległy mógłby swobodnie wewnątrz kuli słonecznej krążyć, bo od niego do powierzchni pozostałoby jeszcze całych mil 40000! (C. d. n.)

TYDZIEŃ WARSZAWSKI.

I.

Gród syreni — lwiemu grodowi przesyła pozdrowienie wielkanocne: jedzmy ale nie dajmy się zjeść! Że umiemy jeść, to całemu światu wiadomo, niechże wiedzą i to, że na potrawie z nas przyrządzonej można sobie zepsuć zęby... Nasi starsi bracia z nad Newy czują to i gniewają się.

— Jakże panu hrabiemu podoba się Warszawa? pytał Generał-gubernator prof. Tarnowskiego, który mu złożył wizytę. Słyszę że po dwa tysiące osób bywa na pańskich odczytach?

— Tak wiele nie, odrzekł profesor.

— No, może 1999... dodał gubernator z przekąsem.

W istocie powodzenie tegorocznych odczytów a w szczególności wykładów prof. Tarnowskiego *O początkach polskiej poezyi romantycznej* było niesłychane. Olbrzymia sala wykładowa nie mogła pomieścić wszystkich pałających żądzą usłyszenia i.. zobaczenia hrabiego prelegenta, ktory niedość że jest prawdziwym hrabią, nie dość, że jest prawdziwym prelegentem, ale jeszcze w dodatku młodym i przystojnym. Przez tydzień cała Warszawa mówiła tylko o Tarnowskim. Na ostatnim wykładzie pięć razy musiał dziękować za oklaski i w końcu odjechał ażeby się więcej nie fatygować, a brawa jeszcze grzmiały, a kapelusze powiewały za nim i pewno nie jedna pierś dziewicza westchnęła, mówiąc: taki piękny i profesor! taki rozumny i hrabia!

Cała prasa przyznała prof. Tarnowskiemu nieporównane przymioty wykładu, dykcyą prostą a wyrazistą, głos silny i dźwięczny, język dobitny, obrazowy i podniosły a przytem, oryginalną siłę krytyczną, dar określenia różnic i podobieństw kilku świetnemi zwrotami, wreszcie pewną stronniczość w ocenie. Bo trzeba wam wiedzieć że np. Słowacki jest poetą zaledwie trzeciorzędnym a Wiktor Hugo... to blagier i demoralizator, nic więcej. Krytyka wytknęła p. Tarnowskiemu te nieco radykalne zapatrywania i nie wiem czy pod jej wpływem ale to pewna że na trzecim wykładzie Słowacki został zaszczycony lekką rehabilitacyją za swój poemat „W Szwajcaryi“. *Dziady* Mickiewicza nazwał prelegent pierwszym poematem miłości w naszej poezyi a ze szczególnym zapałem mówił o *Grażynie* jako o nieporównanem arcydziele.

Cenzura obeszła się srogo z profesorem, srożej niż w zeszłym roku, Z tego powodu niepodobna go winić że właściwie mówił tylko o Mickiewiczu, że z dzieł jego Pana Tadeusza nie rozbierał wcale i. t. d. Dzięki mu i za to co nam dał, komu innemu może i tego powiedziećby nie pozwolono. O tem że prof. Tarnowski jest Stańczykiem u nas nie wiedzą, a raczej nie rozumieją tego. Gdy *Kuryer Codzienny* przedrukował życiorys Tarnowskiego z *Harapa*, Warszawa wzięła za obelgę to, co w Krakowie uchodziło za reklamę. My też nie chcemy wchodzić w rozbiór wstecznych przekonań *profesora*, dość nam wiedzieć że godnie nosi to imię i że w domach naszych rozbudził na nowo święty zapał dla arcydzieł naszej poezyi, tu, gdzie go wszelkiemi sposobami zgasić usiłują; sądzimy też, że przyjęcie jakie p. Tarnowskiemu zgotowała Warszawa nie prędko zatrze się w jego sercu.

* * *

Widząc ciągły rozwój Kongresówki we wszystkich kierunkach, można doprawdy uwierzyć, że nas bracia Słowianie nie zjedzą. Niech tylko z którejbądź strony uchylą nieco zapory wnet życie bujnym wytryska strumieniem... Mój Boże! żeby nam dano taką wolność jak Galicyi!

W ostatnich czasach np. zaczęto łatwiej udzielać koncesye na nowe pisma i wnet cały tłum ich powstał, i żyje! „Echo“ pismo codzienne ma przeszło 2.000 abonentów — „Nowiny Niedzielne tyleż. — „Tygodnik Powszechny“ ma byt zapewniony — „Antrakt“ coraz się poprawia — „Gospodyni Wiejska“ ustala się — „Goniec teatralny“ wkrada się do wszystkich salonów — „Biesiada literacka“ przynosi dobre zyski, a żadne z dawnych pism nie upadło; co więcej, powstają jeszcze nowe między któremi codziennie: „Kuryer poranny“ w małym formacie i nowa wielka gazeta p. t. „Wiadomości Warszawskie;“ nadto nieznany nam jeszcze z zakresu dziennik w języku francuskim poświęcony sprawom słowiańskim p. t. „Revue slave.“ — Powstaje także przy Kłosach „Kwartalnik naukowy“ mający wychodzić w wielkich tomach po 20 arkuszy druku

Jak widzicie piśmiennictwo nie śpi, książki wprawdzie idą słabiej, ale to tylko z przyczyny ogólnego ekonomicznego zastoju w obec obawy wojny. Nie mniej jednak rzeczy popularne a będące na czasie zyskują pokup niemały. Rozprawa Jana Jeleńskiego „Żydzi, Niemcy i my,“ która jak wiecie wyszła w drugiej edycyi, już jest na wyczerpaniu. Nawet naukowe wydawnictwa M. Glicksberga zawierające wybór dzieł nowszych idą wcale dobrze, nie mówiąc już o historycznych powieściach Kraszewskiego, które są rozchwytywane. Powstała też nowa „czytelnia tania“ w której za 5 groszy czytać można po kilka godzin, a jeśli wam to wszystko nie wystarcza dla przekonania o naszej żywotności, to wspomnę jeszcze o jednym prawdziwie wspaniałym czynie naszej młodzieży uniwersyteckiej. Oto trzydziestu dziewięciu młodych lekarzy, którzy kończyli studya, wyjeżdżając do Moskwy gdzie ich rząd powołał, zobowiązało się przed tutejszem towarzystwem lekarskiem, że w przeciągu lat pięciu każdy z nich złoży po 50 rs. na urządzenie *pracowni naukowych lekarskich i przyrodniczych* niezależnie od uniwersytetu.

Podając tę wiadomość „Wiek“ dodaje: „Przy niniejszem oświadczeniu, podpisani złożyli na ręce Sekretarza Towarzystwa, D-ra Szokalskiego, sumę rs. 505, jako pierwszą ratę. Towarzystwo Lekarskie przyjęło powyższą deklaracyą z należnem uznaniem. Założenie pracowni od dawna leżało w jego zamiarach, gdyż równie są one niezbędne dla praktycznego lekarza jak biblioteka, i muszą być ściśle do jego potrzeb zastosowane. Brak tylko funduszów odpowiednich i pomieszczenia, niedozwolił dotąd zadosyć uczynić temu zamiarowi. Złożona obecnie suma stanowić ma początek, który zapewne wkrótce się powiększy, częścią z funduszów samego Towarzystwa a częścią z innych bezwątpienia darów; piękny bowiem przykład dany przez najmłodszych kolegów, nie pozostanie pewnie bez naśladowania. Miejsce na pracownie znajdzie się także w domu Towarzystwa; postanowiono jednak nie przystępować do ich urządzania póki wszystkie ku temu środki zgromadzonymi nie będą. czego wszakże, zapatrując się na skrzętność naszego Towarzystwa Lekarskiego, niebawem spodziewać się można. Nie wątpimy również, że piękny czyn młodych lekarzy znajdzie wielu naśladowców u ich młodszych, a może i starszych kolegów.“

* * *

„Gazeta Polska“ rozpoczęła już druk *Pamiętników Fredry*, które nosząc humorystyczny tytuł: „Trzy po trzy“, obiecują jednak bardzo zajmujące obrazy z życia dzielnego komedyopisarza. Fredro zaczął w nich od opowiadania wojennych swych wspomnień z r. 1812 skreślonych żywo i barwiście. Już to trzeba przyznać że fejleton *Gazety Polskiej* jest o wiele lepszym niż wszystkich innych gazet, chociaż brak mu tego urozmaicenia jakie posiada fejleton „Echa“. Gazeta drukuje np. świetne szkice i korespondencye Litwosza (Henryka Sienkiewicza) zajmujące listy Juljana Horaina, a nadto obiecuje nową powieść Kaczkowskiego. Są to więc wszystko prace oryginalne podczas gdy inne pisma przeważnie posiłkują się tłumaczeniami.

* * *

Opera włoska nareszcie opuszcza już Warszawę dostarczywszy dosyć materyału naszym pismom humorystycznym. Ostatni numer „Kuryera Świątecznego“ podaje następujący „Praktyczny sposób słuchania“ tegorocznej opery włoskiej:

„Roztwórz oczy i nie zatykaj uszów, gdy śpiewa panna Stella Bonheur.

Zatkaj uszy a roztwórz oczy gdy śpiewa panna Saurel.

Nie zatykaj uszu, ale zamknij oczy gdy śpiewa panna Paolini.

Zamknij oczy i zatkaj uszy gdy zacznie śpiewać pani Levielli-Coloni.“

A „Postny Krakowiak“ *Echa* tak ze swej strony opiewa dzieje opery włoskiej w Warszawie:

Wyją wilki, wyją,
Pod zielonym borem,
A w Warszawie Włochy
Śpiewają wieczorem.

Zaświeciło słońce,
Wilk się schował w lesie,
A Włochów maszyna
Za granicę niesie.

Kiedy będzie zima,
Wilk znów do wsi przyjdzie,
A w Warszawie Włochy
Wystąpią w Aidzie.

Kto dożyje, użyje. A tymczasem śpiewajmy po staropolsku: Alleluja!

Kronika odkryć i wynalazków.

I.

(Telegraf „mówiący:" wynalazek p. Bella. Przesyłanie dźwięków mowy ludzkiej za pomocą elektryczności. Odczyt p. Bella. — Roślina elektryczna. — Kwestya samorództwa w Paryskiej Akademii Umiejętności.)

W kołach naukowych jest obecnie na porządku dziennym znakomity wynalazek młodego, mieszkającego w Ameryce Anglika, pana Bella. Wieść o tym wynalazku, o przyrządzie zwanym „telegrafem mówiącym" rozniosła się po dziennikach, wszelako przyjęta z początku została z wielkiem niedowierzaniem. Dziś, kiedy już autentyczność wynalazku potwierdziły najpierwsze powagi naukowe, do jakich z pewnością należy prof. W. Thomson, spieszymy z daniem sprawozdania Czytelnikom *Tygodnia*.

Telefon (tak się nazywa ów przyrząd) pana Bella służy nie tylko do przenoszenia dźwięków zwykłych muzycznych z jednej stacyi na drugą znajdującą się w dowolnej odległości, lecz przenosi także i mowę ludzką ze wszelkiemi jej odcieniami. Na jednej stacyi mówi się do przyrządu, a na drugiej przyrząd powtarza te same słowa, tym samym tonem, tak wyraźnie, że odróżnić można głos osoby znajomej.

Pomysł i urządzenie przyrządu jest nadzwyczaj proste i dziwić się tylko należy, że dotąd nikt nie wpadł na myśl czegoś podobnego; nie pierwszy to jednak i nie ostatni fakt zapisany na kartach historyi wynalazków, owszem, rozpatrując się bliżej przekonamy się, że jest to prawie ogólna reguła.

Urządzenie telefonu p. Bella jest następujące. Na pierścieniu mosiężnym przymocowaną jest jak na bębnie cienka żelazna blaszka, która drgać zaczyna skoro się do niej mówi i te drgania są w najmniejszych szczegółach zależne od dźwięków je wywołujących. Przed tą blaszką umocowany jest potężny magnes w kształcie podkowy w ten sposób, że oba jego bieguny znajdują się bardzo blisko od wymienionej blaszki. Magnes otoczony jest zwojami odosobnionego elektrycznie drutu, który ztąd przechodzi na drugą stacyę i łączy się tam z przyrządem zupełnie tak samo jak na pierwszej stacyi zbudowanym.

Wiadomo Czytelnikom, że przybliżanie i oddalanie kawałka stali lub żelaza do biegunów magnesu wywołuje w zwojach drutu otaczającego ten magnes chwilowe prądy elektryczne, których natężenie i trwanie odpowiada najzupełniej tym zbliżaniom i oddalaniom. Otóż, gdy się na pierwszej stacyi mówi do blaszki żelaznej, blaszka ta drgać zaczyna i raz się oddala to znów przybliża do biegunów magnesu i wywołuje w ten sposób w drucie magnes otaczającym prądy chwilowe, analogiczne do drgań powietrza, które drgania blaszki wywołały, prądy te przenoszą się na drugą stacyę i tam działając odwrotnie wprowadzają blaszkę żelazną w drgania zupełnie takie jak na pierwszej stacyi. Każdy odcień w tym drganiu przenosi się z największą dokładnością, tak że blaszka najwyraźniej oddaje te dźwięki.

Prof. Thomson będąc w Ameryce słyszał blaszkę recytującą słynny Hamletowski monolog: To be or not to be... wypowiedziany na innej stacyi o kilka mil odległej.

Niedawno, znakomity obecnie wynalazca p. Bell miał odczyt o swym przyrządzie w mieście Salem w Stanie Massachusetts. Reporter dziennika „Globe" za pomocą telefonu umieszczonego w sali wykładowej wysłał do swego pisma natychmiastowe sprawozdanie. Słyszano wtedy w Bostonie nietylko dokładnie głos reportera, ale nawet oklaski, którymi publiczność obficie obdarzyła prelegenta. Całe audytoryum przysłuchiwało się aryi, którą śpiewał p. Watson na drugiej stacyi, o jedenaście mil angielskich odległej.

* * *

Na wiarę hamburskiej ogrodniczej gazety podajemy wiadomość o nowo odkrytej roślinie posiadającej nadzwyczaj dziwne własności. Jest to roślina z rodzaju Phytolacca, która jak się zdaje była zupełnie dotąd nieznaną i nazwano ją: Phytolacca electrica.

Roślina ta ma zadziwiające własności elektryczne. Skoro się z krzaka odłamuje gałązkę, czuje się silny prąd wstrząsający mięśniami. Pan Levy, który znalazł tę roślinę w Nicaragua, zaczął robić nad nią doświadczenia z małą igłą magnesową, którą przy sobie posiadał. Wpływ krzaka znać już było w odległości 7—8 stóp; przy zbliżaniu się wahania igły stawały się coraz niespokojniejsze, gwałtowniejsze, aż nareszcie szybko obracać się zaczynała.

Natężenie tych własności elektrycznych zmienia się stosownie do pory dnia. W nocy jest prawie żadne, we dnie około 2ej największe. P. Levy nigdy nie znalazł śladu owadów na tej roślinie.

* * *

Kwestya samorództwa była w ostatnich paru miesiącach przedmiotem gwałtownej polemiki między p. Pasteurem znakomitym uczonym francuskim, a p. Bastianem uczonym angielskim. Ten ostatni twierdził, że znalazł warunki fizyczno-chemiczne, w których z płynów nieposiadających żadnych zarodków organicznych wytwarzają się mikroskopowe organizmy sprowadzające jak wiadomo fermentacyę. Twierdzi on, że jeżeli do kwaśnych płynów organicznych (odwarów siana, zawartości pęcherza itp.) doda się tyle ługu potażowego ile wystarcza do dokładnego zobojętnienia tych płynów, to wtedy, nawet po najstaranniejszem zniszczeniu wszelkich zarodków organicznych przez podnoszenie tych płynów do wysokiej temperatury, tworzą się *de novo* w tej mieszaninie istoty żyjące. Pan Pasteur powtarzając te doświadczenia doszedł do wręcz przeciwnych rezultatów i zaprzecza stanowczo twierdzeniom dra. Bastiana. Z łona Akademii paryskiej wybraną została specyalna komisya w celu stanowczego rozstrzygnięcia tego sporu. We właściwym czasie podamy sprawozdanie z rezultatów, do których ten sąd kompetentny dojdzie; zdaje się nam jednak że p. Pasteur stanowczo wyjdzie zwycięzcą z tej walki.

Bliższe szczegóły tej kwestyi znajdzie Czytelnik w dzisiejszym bardzo urozmaiconym zeszycie *Kosmosu*.

B. Abakanowicz.

Piśmiennictwo polskie.

(*Dziwolągi, szkice i obrazki przez Józefa Blizińskiego.*)

Autor „Pana Damazego," którego krakowska komisya konkursu dramatycznego świeżo uwieńczyła pierwszą nagrodą, znany nam już był z mniejszych i większych komedyi, z „Przezornej Mamy," „Marcowego kawalera" i „Chleb ludzi bodzie." Wszystkie te utwory przyjęte były przez naszą publiczność jak najlepiej, a to dzięki naprzód nadzwyczaj naturalnemu przedstawieniu tła swojskiego, powtóre oryginalności figur wprowadzonych w działanie, nareszcie dzięki lirycznej strunie, która się miejscami rzewnym dźwiękiem odzywa i łączy z humorystycznym tonem w kontrast pełen uroku.

Pomimo jednak tej popularności, na jaką sobie już w Galicyi zarobił p. Bliziński, o jego szkicach i obrazkach powieściowych, które wydane zostały w przeszłym roku w Warszawie, żaden z tutejszych dzienników nie zrobił obszerniejszej wzmianki. Chcemy naprawić to zapomnienie i kilka słów powiedzieć o nich.

Tytuł noszą „Dziwolągi," i tytuł, powiedzmy zaraz, bynajmniej nie jest szczęśliwie dobrany. Ktoby chciał z tytułu sądzić o rzeczy, musiałby się domyślać, że autor rozwinie przed nim galerya rzadko spotykanych, dziwacznych postaci, które się gdzieś w jakichś niezwykłych, wyjątkowych warunkach wylęgły; tymczasem te dziwolągi to są typy codzienne, postacie, które się w naszem szlacheckiem społeczeństwie spotykają na każdym kroku. Jest tu jakiś paniczyk, co utraciwszy majątek, schodzi na chleb pieczeniarski i roi o bogatem ożenieniu się, to znów gościnny szlachcic, co gotów na śmierć zapoić swego sąsiada i nawet potem wyrzutów sumienia nie czuje, to znów inny szlachcic safanduła, którego partyjką maryasza czy bezika i dobrym obiadkiem można powstrzymać w każdej, choćby najważniejszej podróży i wiele innych tym podobnych typów. Byłyby to może dziwolągi w jakiem innem społeczeństwie, ale nie u nas.

Ale mniejsza o tytuł, i bodajby wszyscy autorowie umieszczali swoje błędy w tytule, a nie w treści. Co się tyczy tej ostatniej, to autor „Dziwolągów" w szeregu oderwanych obrazków, z których się składa jego książka, więcej zajmuje się rysunkiem typowych postaci, aniżeli stroną powieściową, która służy niejako tylko do uzupełnienia tego rysunku. Książka ta wygląda jak teka, w której rysownik zgromadził szkice z rozmaitych osób, spotykanych w życiu, a które go zajęły swoją humorystyczną stroną. Najobszerniej traktowany jest typ utracyusza w obrazku pt. „Kłopoty paniczyka." Autor przeprowadza lekkomyślnego panicza po utracie majątku, przez wszystkie koleje mydlanych nadziei, zawodów i upokorzeń, jakie podobnego człowieka spotkać mogą, aby nareszcie wykrzesać z jego serca iskrę szlachetnej dumy i postanowienia, iż na własnej pracy zbuduje sobie skromny przybytek szczęścia. W obrazku tym przebija wszędzie szlachetna tendencya, ale jest on za to więcej utworem refleksyi, niż swobodnego humoru. Ten ostatni najwybitniej występuje jako kształtujący czynnik w niektórych mniejszych obrazkach jak: „Polowanie na wróble," „Rekreacye Zefirka," „Wyprawa pana Prota," i inne.

W „Polowaniu na wróble" pojawia się nadzwyczaj komiczny, a mało nam znany typ poznańskiego zucha-oficera, na którym pruska służba wycisnęła swój stempel w całej jego brzydocie. Jest to p. Herkulan Gnatołomski, bohater z ostatniej kampanii pruskiej, opowiadający swoje exploits językiem, do którego pendant możnaby znaleść i w niektórych galicyjskich sferach. „Momentalnie uformowałem szwadronę do ataku... to wszystko... i nim się spostrzegli uderzyłem rapide. Raz, dwa, trzy, rozumiesz mnie pan, tak, że we dwie minuty z całego nieprzyjacielskiego oddziału zrobiła się jedna masa compacta, i sztandarta była w naszem ręku." Ten zuch ma sławę bardzo niebezpiecznego człowieka i kiedy zawoła „szkandał" jest to znak bardzo groźnej sytuacyi. Naturalnie, że wszyscy ludzie spokojni i niezachwianie wierzący w męstwo p. leitnanta ustępują z drogi przed tak niebezpiecznym człowiekiem. Znalazł się jednak niepoczesny jakiś człowieczyna, który mu w oczy powiedział „jesteś pan dudek" i na groźne zażądanie bohatera powtórzył mu to samo wyraźnie, dobitnie, powoli i patrząc mu w oczy. Cóż pan Herkulan uczynił? Oto postanowił nie strzelać się z człowiekiem, któremu był winien dwieście rubli (to właśnie było powodem poróżnienia), ponieważ wyglądałoby to tak, jak gdyby chciał zabić swego wierzyciela i tym sposobem skwitować się z długu.

W „Rekreacyach Zefirka" występuje Warszawiak, jakiś podrzędny urzędnik biórowy, który przez lat trzydzieści swego życia nigdy nie wyjeżdżał na wieś, choć ciągle słyszał o przyjemnościach wiejskich i wzdychał do nich. Udało mu się nareszcie raz uzyskać urlop i przyprowadzić do skutku upragniony wyjazd na wieś — i tu go zaczęły na każdym kroku spotykać rozczarowania i utrapienia. Brał on się do wszystkich przyjemności wiejskich z takim zapałem, a tak niezręcznie, że każda przyjemność kończyła się jakiemś fatalnem fiasco. W obrazku tym jest dużo humoru, który przypomina wesołe ramotki Wilkońskiego.

W wyprawie pana Prota mamy do czynienia ze szlachcicem, którego żona na kilka dni przed Wielkanocą wysłała do miasteczka po jakieś bardzo ważne sprawunki świąteczne. Pan Prot przejeżdżał przez wieś sąsiada. Wstąpić, czy nie wstąpić? Pan Prot spieszył się do miasteczka, ale deszcz zaczął padać,

więc lepiej wstąpić na pół godzinki. Sąsiad zatrzymał na obiad, po obiedzie zaczęto grać maryasza, którego pan Prot namiętnie lubił, potem już było zapóźno, a przytem niepewna pogoda, nazajutrz furman się upił, czy coś podobnego, dość, że przez parę dni ciągle coś pana Prota powstrzymywało od dalszej podróży. Nareszcie trzeciego dnia w głowie gościnnego sąsiada zaświtała myśl przednia: poco pan Prot ma się męczyć i sam jechać do miasteczka, kiedy go wybornie zastąpi woźnica. Nie trzeba mu nawet dawać pieniędzy; wiezie on gęsi na sprzedaż, sprzeda je i za te pieniądze porobi sprawunki. Myśl ta ciężkiemu panu Protowi wydala się genialną; posłano Wacha woźnicę, i znów zabrano się do kart. Płyną godziny, upłynął dzień i dwa dni, a ani Wacha ani sprawunków nie widać. Pan Prot niespokojny, święta nad głową, a pani Protowa nie należy do osób, z któremi można żartować. Nareszcie zjawia się Wach, ale jako zwiastun nieszczęścia: skradziono mu gęsi w mieście i naturalnie nie miał za co porobić sprawunków. Na spotkanie się pana Prota z żoną po powrocie, jako na obraz nadto przykry, autor rzucił zasłonę.

Opowiadanie, jak już widać z tych przykładów, nosi charakter anegdotyczny, co jeszcze więcej nadaje tym obrazkom cechę swojskości, anegdota bowiem była najulubieńszą formą szlachecko-polskiego żywiołu począwszy od Reja i Górnickiego, i nie przestała nią być do dzisiaj w rozmowie potocznej. Smak ten charakteryzuje kierunek usposobienia narodu i jego twórczości; wesoła, śmieszna, nie tyle satyryczna, ile zabawna strona każdego przedmiotu uderza nas łatwiej, jak każda inna, i największa epopea nasza, właśnie dla tego, że jest ściśle narodową, nosi na sobie lekką barwę humorystyczną. To też jeżeli o przyszłości tragedyi w Polsce można mówić z wielkiem powątpiewaniem, dla komedyi polskiej wolno roić bardzo świetną przyszłość. P. Bliziński jako pisarz, który w młodej komedyi naszej zajął już pierwszorzędne stanowisko, a zarazem jako autor „Dziwolągów,“ jest żywym przykładem ścisłego genetycznego związku jaki zachodzi pomiędzy polską komedją a polską anegdotą i jego „Dziwolągi“ możemy uważać niejako za zapas materyałów do przyszłych komedyj.

Józef Tretiak.

TEATR.

Z nowości scenicznych ubiegłego tygodnia zapisujemy przedewszystkiem obrazek ludowy p. Michała Bałuckiego „Komedya z oświatą.“ Rzecz to napisana z życiem, charaktery uchwycone wybornie; brak właściwej intrygi zastąpiony bardzo żywym dyalogiem w którym występują silnie dodatnie i ujemne strony wiejskiej naszej społeczności. Szkoda wielka, że tendencya występuje niewyraźnie, a może nawet i nie tak jak autor zamierzył. Wprowadzając na scenę włościanina, któremu samouctwo posłużyło tylko do tego, że się wynosi nad swych sąsiadów, pyszni stosunkami z „panami“ którzy „go zapraszają i częstują siampanem“, obok niego dzierżawcę, szlachcica starej daty, wręcz nieprzyjaźnego oświacie ludu, pomiatającego i chłopem i nauczycielem, a jednak grającego „komedyą z oświatą“ dla tego że sobie p. hrabia tego życzy, wreszcie delegata Towarzystwa oświaty ludowej, wyglądającego trochę na blagiera, chciał autor zapewne wyszydzić „komedyą“ oświaty ludu, ale nie rzetelną w tym kierunku pracę. Cel ten byłby osiągnięty gdyby choć cośkolwiek dodatniego zostało w całym tym obrazku. Gdy jednak same tylko ujemne strony przedstawiono, śmieszności albo też i fałsze, odnoszą widzowie wrażenie takie, jakoby cała sprawa oświaty była tylko... komedyą. Nie możemy bowiem pozytywnym żywiołem nazwać nauczyciela *takiego*, jak go autor przedstawił. Jest to poczciwe człeczysko poświęcone umiejętności wielkiego i małego abecadła, ale niedołęga w całem tego słowa znaczeniu, tracący języka w gębie w obec pana dzierżawcy i pana delegata. W jego ustach końcowy frazes, że „nie towarzystwo lecz szkoła dźwignie oświatę„ wygląda na ironię. *Taki* nauczyciej nie oświeci ludu. Zresztą i ten ostatni frazes grzeszy jednostronnością bo nie dość jest pozakładać szkoły trzeba pamiętać o umysłowym pokarmie dla tych, którzy szkołę ludową ukończyli, a na to trzeba dzieł i pism ludowych, trzeba czytelni, trzeba ludzi którzy by te książki i te pisma chcieli i umieli do chat wprowadzić. Nie rozpisujemy się o wartości sztuki jako takiej, jako obrazek ludowy a do tego przeważnie tendencyjny, wymagała ona ocenienia głównie ze stanowiska tendenciy. Nie wspominalibyśmy też o farsie, którą p. Zboiński tegoż samego wieczora na swój benefis przedstawił, gdyby nie konieczność ujęcia się za naszą publicznością, zbyt spokojnie przyjmującą oczywiste jej lekceważenie. Takie „Morderstwo na Zarwanicy“ należy go jarmarcznej budy, a nie do świątyni sztuki w stolicy kraju. Rzecz tak trywialna, że nie wiemy kogo bardziej podziwiać, czy p. Zboińskiego, który swój benefis sprofanował przedstawieniem takiej płaskiej farsy czy publiczność, która cierpliwie wytrzymała do końca. Tem bardziej zaś byliśmy obowiązani wytknąć to p. Zboińskiemu, że artysta ten składał nieraz dowody prawdziwego poczucia artystycznego. i jest *słusznie* ulubieńcem naszej publiczności tem bardziej więc powinien i siebie szanować i publiczność.

POGADANKI.

XXVIII.

Rok 1877 odznacza się dotychczas bardzo normalnym przebiegiem zimy i wiosny, która zaczęła się de facto 21 marca, jakkolwiek p. Sabowski udowodnił nam, że dzień ten jest raczej punktem kulminacyjnym tej pięknej pory roku. Jest to niezawodnie uwaga słuszna z astronomicznego punktu widzenia, w praktyce atoli, póki bez futra trudno pokazać się na ulicy, trudno też mówić o wiośnie. Jest nadzieja, że dalszy naturalny rozwój wypadków meteorologicznych pozwoli nam użyć milej przechadzki po trudach dzisiejszego „święconego,“ przy którem każdemu życzę jak najlepszego apetytu i jak najmniej następnej styczności z pp. doktorami medycyny, zważywszy, iż towarzystwo tych panów przyjemnem jest tylko wtenczas, gdy się ich nie potrzebuje.

* * *

Normalny stan powietrza nie zapobiegł niestety odbywaniu się nienormalnych procesów myślenia w rozmaitych głowach. I tak np. donoszą ze Złoczowa, że jakiś gorliwy katolik wpadł tam na pomysł zbierania podpisów na adres do papieża — między młodzieżą szkolną. Jeżeli zważymy, że najwyższym zakładem naukowym w Złoczowie jest niższe gimnazyum, to będziemy mogli ocenić należycie niedorzeczność tego postępowania. Niechaj będzie wolno wyrazić tu nadzieję, że władze szkolne nie dozwolą na taką agitacyę między dziećmi, tak bardzo jeszcze zawisłemi od władzy rodzicielskiej. Co innego, jeżeli chłopak spelni akt takiej przedwczesnej dojrzałości kościelno-politycznej w domu, za wiedzą i zezwoleniem ojca, a co innego, jeżeli to się odbywa w szkole, bez wiedzy rodziców.

Ponieważ, od pewnego czasu, ekstrawagancye klerykalne idą u nas w parze z muzykalnemi, więc jednocześnie rozeszła się wiadomość, że we Lwowie ma się odbyć koncert, z którego dochód ma być przeznaczonym na pomnik dla — Beethovena. Było to zupełnie na swojem miejscu, że uczczono 50 letnią rocznicę śmierci wielkiego kompozytora, uroczystym obchodem. Ale pamiętać o pomniku dla cudzoziemca, gdy tylu wielkich ludzi własnego narodu dotychczas' tego dowodu pamięci i czci nie odebrało, to znaczy posuwać melomanię trochę za daleko. Powodem tego dziwactwa jest zresztą ta okoliczność, że podczas gdy jedno stowarzyszenie muzyczne lwowskie pamiętało o rocznicy beethovenowskiej, drugie przypomniało ją sobie zapóźno, i nie widzi teraz innego sposobu poprawienia się, jak tylko ten jeden. Dotychczas ze wszystkich pomników, na które u nas zbierano składki, ani jeden nie przyszedł do skutku, bo co chwila powstawał nowy pomysł, i ofiarność publiczna rozdrabiała się w atomy. Przyjdzie do tego, że jedynymi dwoma pomnikami tego rodzaju, na jakie zdobędzie się Galicya, będą: istniejący już monument założyciela plantacyj w Krakowie, i pomnik hr. Gołuchowskiego.

* * *

Zanosi się zresztą we Lwowie na inny, pierwszy w swoim rodzaju, wypadek muzykalny; „*Lohengrin*“ Wagnera ma bowiem doczekać się przedstawienia wkrótce po świętach. Jest to ponoś jeden z najmniej „przyszłościowych“ utworów tego kompozytora, tj. z najmniej niezrozumiałych dla nas prostaczków. Z jego „*Walkyrą*“ już nawet i Wiedeń rady dać sobie nie może, entuzyaści chwalą, przeciwnicy szydzą, a ogół dziwi się, milczy i — stroni od teatru. U nas nowość tak nadzwyczajna będzie dla dyrekcyi teatru niezawodnie niegorszem od *Aidy* źródłem dochodu, ale jeżeli pomyślę o krytykach, które będziemy musieli wysłuchać przy tej sposobności, to już naprzód robi mi się ckliwo. Przysłuchując się zdaniom, wyrażanym przez część spektatorów po każdem przedstawieniu nowej jakiej sztuki, przychodzę do przekonania, że chyba pewna część szanownej publiczności chodzi do teatru po to, ażeby się później miała czem irytować. Benefis członków orkiestry nastręczył do tego sposobność szczególnie dogodną. Narzekanie trwało dłużej niż przedstawienie. To samo stało się z każdym prawie dotychczas pośmiertnym utworem Fredry. W teatrze widać publiczność bawiącą się, zajętą, sypiącą oklaski, poza teatrem każdy ma coś do zarzucenia, to autorowi to kompozytorowi, to przedstawieniu. Nie jeden narzeka z nawyczki, nie jednemu znowu zdaje się, że świadczyłoby to źle o wysokości jego wymagań artystycznych, i o jego wykształceniu, gdyby nie znalazł więcej do zganienia niż do pochwalenia w każdej produkcyi. Święciłoby to się być pisarzem dramatycznym lub kompozytorem w kraju, w którym ludzie nie boją się być posądzonymi o naiwność, jeżeli oddają się swoim wrażeniom i mają odwagę przyznać się do nich bez ogródek. Święciłoby się to szczególnie, gdyby nietylko mówione ale i pisane recenzye wypadały w tym duchu. Nic fatalniejszego, jak krytyk, który nauczył się z książki kilku teoremów estetycznych, i mierzy wszystko ich łokciem, odrzucając bez litości każdy utwór nie dający się ująć w te ramy. Gorszym od niego jest chyba tylko ten rodzaj entuzyasty, który chwali, ponieważ wszyscy chwalą, i rusza pogardliwie ramionami, jeżeli się kto ośmieli mieć własne, nieco odmienne zdanie.

* * *

Niebezpieczną także miarą w sądzeniu sztuk i kompozycyi jest ich „tendencya“. Tutaj autor z góry liczyć może na dwa obozy, przychylny i nieprzyjaźny. Mógł na to być przygotowanym autor „*Baronowej Aliny*“, komedyi przedstawionej temi dniami, i niezbyt dobrze przyjętej przez krytykę. Co więcej utwór ten w pewnych sferach wy-

wołał ogromne oburzenie, które już samo przez się powinnoby mu zapewnić dłuższe życie na deskach scenicznych. Hr. Łączyński poszedł tu w ślad za autorem „Parafiańszczyzny“, i położył palec — niektórzy mówią, że całą rękę, na niektórych usterskach i wadach, dostrzeżonych dokoła. Dosyć, że zapewniają, iż gniew z tego powodu nie zna granic, cała parafia jest „indygnowaną“ i poraz pierwszy z przyjemnością czyta nielubiane przedtem dzienniki, ganiące „Baronową Alinę“ jako utwór małej wartości literackiej. Byłoby pożądanem, gdyby wszystkie te przeciwności skłoniły autora do większych i coraz większych wysileń, tak aby w końcu i wszystko złe, które się dzieje w naszem otoczeniu, znalazło się na pręgierzu, i aby krytyka nieprzychylna umilknąć musiała.

Jan Lam.

BIBLIOGRAFIA
polska.

— *Ebers E. Dr.* Córka króla egipskiego, powieść tłumaczona z niemieckiego przez P. Wilkońską 3 tomy. 8ka str. 132, 158, i 177. Lwów. 1877 3.60.

Powieść z szóstego wieku przed Chrystusem.

— Gralewski Mateusz. Kaukaz. Wspomnienia z dwunastoletniej niewoli. Opisanie kraju. Ludność. Zwyczaje i obyczaje. Zeszyt III. 8ka str. 161 –240 Lwów 1877. Prenumerata na całe dzieło 3. —

Miurydyzm na kazaniu: Wskrzesiciele Miurydyzmu. Mułła-Mahomet. Młodzieniec Chaz Machomet Efendi Izmail. Zasady Miurydyzmu. Nauki w Jarachu. Ruch religijno-społeczny, Asłan Chan. Rozporządzenie Jermołowa. Zjazd znakomitych ludzi. Aresztowania. Wystąpienie Imama Kazi-Mułły. Szamchał Mechti. Sagit Efendi konserwatysta. Wybuch wojny świętej. Śmierci Kazi-Mułły Imam Hamzad Bek. Wytępienie domu chanów awarsnik. Śmierć Hamzad Beka. Imam Szamil. Długoletnie walki. Wzrost Miurydów. Upadek. Niewola Szamila. Pogląd na charakterystykę taktyki lergińskiej i czeczeńskiej.

— Skarbek Fryderyk. Dzieje Polskie. Część II. Królestwo polskie od epoki początku swego do rewolucyi, Listopadowej. Wydanie pierwsze pośmiertne. 8ka str. 314. Poznań 1877. 3.60

Część I tego dzieła obejmuje *Dzieje Księstwa Warszawskiego*. Części II zawiera: Polityka czesarzów rosyjskich względem Polski. Sprawa polska na kongresie wiedeńskim, Ustanowienie królestwa Polskiego konstytucyjnego, Ocenienie wartości politycznej królestwa Polskiego. Konstytucja królestwa polskiego porównana z konstytucją księstwa warszawskiego, Rząd samowolny, Wielki książę Konstanty. Polityczny nadzór nad Polakami, Nowosilcow, Autonomje i rząd wewnętrzny Królestwa Usposobienie moralne i polityczne krajowców, Pierwszy sejm, Pierwsza opozycja, Sejm roku 1820, Najzaciętsza walka opozycyi-Skutki opozycji roku 1820. Sejm roku 1825, Śmierć cesarza Aleksandra, Wstąpienie na tron cesarza Mikołaja, Towarzystwa tajne, Sąd sejmowy, Koronacja cesarza Mikołaja, Sejm roku 1830, Zakończenie.

Wiadomości z kraju i ze świata.
Listy z kraju.

— Podajemy poniżej sprawozdanie z prac dotychczasowych podjętych w celu urządzenia *muzeum Kopernika* w Rzymie. Ponieważ to sprawozdanie doszło nas zbyt późno, podajemy więc je tylko w streszczeniu, odsyłając czytelników do innych pism, w których jest ono już wydrukowane:

Muzeum Kopernika w Rzymie.

Na mocy reskryptów Ministerstwa oświecenia publicznego w Italii z dnia 25 lipca 1874 r. i 16 stycznia 1877 rektor Uniwersytetu rzymskiego mianował dnia 15go lutego rb. komisyą do urządzenia lokalu na muzeum, do zgromadzenia zbiorów odpowiednich, ich ułożenia i ulokowania, do obmyślenia potrzebnych funduszów na powiększenie zbiorów, utrzymanie lokalu i niezbędnej obsługi. Do komisyi tej został powołany nasz rodak dr. *Artur Wołyński*, mieszkający we Florencyi.

Dnia 9 marca rb. komisya muzealna odbyła swe pierwsze generalne posiedzenie, na którem podzieliła się na trzy podkomisye czyli wydziały, z których pierwszy składa się z rektora Uniwersytetu p. Valeri i profesorów: Piotra Blazerna i Wawrzyńca Respighi, a obowiązkiem jego jest urządzenie lokalu.

Wydział drugi stanowią deputowani; Dominik Berti, Cezar Correnti i Kwiryn Sella; ci mają prowadzić układy z rządem i Municypium rzymskiem, aby zgromadzić fundusze potrzebne na urządzenie muzeum i zapewnienie jego utrzymania. W skład trzeciego wydziału weszli: prof. Honoryusz Occioni, dyrektor kancelaryi i administracyi uniwersyteckiej p. Pognisi i dr. Artur Wołyński, a zadaniem ich jest gromadzić i uporządkowywać zbiory muzealne.

Na posiedzeniu tem komisya uchwaliła urządzić muzeum w gmachu kollegium rzymskiego i takowe połączyć z miejscowem obserwatoryum astronomicznem. Jeżeliby urządzenie lokalu wymagało dłuższego czasu, a dział polski wkrótce został skompletowany, w takim razie takowy zostanie tymczasowo ulokowany w sali uniwersyteckiej nr. 20 na Iem piętrze i oddany na użytek publiczny. Dyrekcyą takowego wyłącznie zajmować się będzie dr. Wołyński, za którego staraniem został zebrany. Na cześć Kopernika zostanie wybity medal, a we właściwym czasie będą ogłoszone warunki prenumeraty. Dla wywiązania się sumiennego z powierzonej misyi komisya postanowiła zaprosić na swych korespondentów różne światłe osoby znane ze swego przywiązania do Kopernika tak w Italii jak i za granicą.

W kraju naszym na korespondentów muzeum zaproszeni zostali: ks. kanonik Ignacy Polkowski i Hieronim Feldmanowski w W. księstwie Poznańskiem; pp. Wacław Holewiński, Wojciech Gerson i Karol Bayer w Warszawie, dr. Teofil Żebrawski w Krakowie, p. Stanisław Kunasiewicz we Lwowie, prof. Włodzimierz Spasowicz w Petersburgu i Edward Jelinek w Pradze czeskiej.

Następuje wyliczenie darów nadesłanych w rzeczach i pieniądzach. Na ostateczne urządzenie potrzeba jeszcze 4.200 lirów.

Ciekawe są niektóre szczegóły statystyczne rzucające dziwne światło na nasz kraj i jego do Kopernika przywiązanie. Na 239 listów pisanych do 102 osób, nie odpowiedziało całkiem 37 (w Galicyi samej 17 osób) 6 wymówiło się zupełnie, a 4 osoby nie odpisały wprawdzie, ale małe przysłały dary.

Na 58 cyrkularzy rozesłanych do uczonych i krezusów w Polsce: 8 osób pospieszyło z ofiarą, a na liczne odezwy ogłaszane w pismach krajowych po kilkakrotnie: 7 osób nadesłało potrzebne książki lub sztychy, z których 1 przypada na Wielkie księstwo Poznańskie, 2 na Galicyę a 4 na królestwo kongresowe.

Literatura nauka i sztuka.

— W *Athenaeum* londyńskiem sprawozdania z literatury polskiej, dotąd przez to pismo pomijanej, pisywać będzie J. I Kraszewski.

— Wyszedł już z druku tom Vty „Źródeł dziejowych“ wydawanych przez prof. Pawińskiego i zawiera: „Lustracye królewszczyzn ziem ruskich: Wołynia, Podola i Ukrainy, z pierwszej połowy XVII wieku; wydał Aleksander Jabłonowski.“

— P. Wł Okoński pisze komedyą w 5 a. p. t.. „Piękna.“

— P. Winc. Rapacki napisał dramat w 1 a. z czasów Ludwika XI p. t. „Horoskop.“

— Deputowany włoski p. Correnti pisze obecnie dla swych rodaków „Dzieje Polski“ i tłumaczy Mickiewicza.

— Na półkach ksiegarskich ukazało się nowe dziełko p. Müldnera p. t. „Szkice z podróży po Słowacyi.“

— W Pradze wyszła z drugu książka zatytułowana „Poesie świetowá,“ w której między innemi pomieszczone są także poezye Juliusza Słowackiego w przekładzie Ottokara Mokrego, młodego poety czeskiego. W tomie tym znajdują się poematy znakomitego naszego poety: „Jan Bielecki,“ „Ojciec Zadżumionych,“ „W Szwajcaryi,“ „Lambro,“ „Mnich“ i „Arab.“ Przekład oznacza się niezwykłą wiernością, i świadczy o prawdziwym talencie młodego poety.

— Rektor uniwersytetu w San Jago, Ignacy Domejko nadesłał paryskiej akademii nauk memoryał o kopalniach Caracoles w Meksyku. Kopalnie te wydają rocznie 120,000 kilogramów srebra, a oprócz tego posiadają kilka odmian chlorków i jodków srebra i rtęci, zbadaniem których zajmował się właśnie Domejko. Donosi on również, iż w Kordylierach odkryte zostały niedawno obfite kopalnie miedzi.

— W dniu 3 marca odbyło się posiedzenie spółki akcyjnej teatru polskiego w Poznaniu pod przewodnictwem p. Wł. Taczanowskiego, który pomiędzy innemi nadmienił iż kilka tysięcy bieżącego długu spółka koniecznie powinna zapłacić, i w tym celu Rada nadzorcza zarządziła dalszą sprzedaż akcyj, co przyniosło 22.525 marek i upoważniła dyrekcyą spółki do zaciągnienia na powyższy cel 15,000 marek. Taż rada nadzorcza oddaje należne uznanie damom polskim, które powzięły myśl zbierania dobrowolnych ofiar na spłacenie wspomnionego długu, który obecnie jeszcze stanowi pokaźną sumę 21,000 marek.

— W Paryżu wynalezionym został przez p. Adama Prażmowskiego nowej, a nader prostej konstrukcyi heliostat, kierujący stale promienie słoneczne na oznaczone miejsce; składa się on z zegara na którego osi obraca się płaszczyzna zwierciadła raz na 48 godzin. Narzędzie to nader ważne świadczyć może przysługi w doświadczeniach fotograficznych, mikroskopowych i fizycznych.

Wystawy.

— Bawarskie muzeum przemysłowe w Norymberdze, zajmuje się obecnie urządzeniem we własnym gmachu, wystawy okazów sztuki drukarskiej, wykonanych w Niemczech od początku 16go stulecia do dni naszych. Uroczyste otwarcie ma nastąpić z początkiem sierpnia i trwać do końca października rb. Celem jej jest przedstawić rozwój sztuki drukarskiej z jej pokrewnymi fachami w różnych gałęziach. Przedmioty tylko takie przyjmowane będą, które wykonane zostały z początkiem 16go aż pod koniec 19go stulecia, a mianowicie: dzieła odbite na prasach drukarskich i litograficznych, rysunki z miedzio- i szkło płytów, światło-kopie wraz z pomocniczymi mechanicznymi przyrządami. Metalotypy, drzeworyty, litografie, kolorodruki, światłodruki i t. p. artystycznie wykonane okazy zajmą miejsce na wystawie. Wraz z otwarciem wystawy ma być wydany katalog ilustrowany z odpowiednim ob aśnieniem ważniejszych przedmiotów. Okazy te ugrupowane będą systematycznie podług rodzaju, treści i wieku, w którym wykonane zostały, w połączeniu z obecnymi, tak ażeby różnicę pod względem artystycznym i technicznym na miejscu porównać można było.

Podróże.

— Otrzymano niepomyślne wiadomości ze wschodniego wybrzeża Afryki. Baron Barth zakończył w Loanda samobójczo życie w napadzie gorączki a dr. Mohr umarł w Malange, dokąd dotarł niedawno. Baron Barth był wysłany przez rząd Portugalski w celu studyów botanicznych i geologicznych w Afryce portugalskiej. Dr. Mohr był wysłany przez niemieckie Towarzystwo Afrykańskie, aby dokończyć podróży eksploracyjnej, której już wielu niemieckich podróżników nie mogła dokonać.

— W Paryżu utworzyło się towarzystwo, noszące nazwę *Sociéte des Voyages d'Etutes autour du Monde*. Celem jego jest uorganizowanie regularnych podróży naokoło świata dla dania możności kształcenia się tym, którzy mogą opłacić wydatki. Pierwsza wyprawa odjedzie z Marsylii pod koniec Maja, tego roku. Podróż trwać będzie około roku. Nadarzy się sposobność przejechania w poprzek Ameryki południowej od Monte Video do Valparaiso, zwiedzenia Stanów Zjednoczonych i Indyi. Dowódzcą wyprawy będzie kapitan Biard; zgłoszenia przyjmują się do 10. Kwietnia. Na okręcie będzie biblioteka, grono nauczycieli i wszystkie potrzebne przyrządy do doświadczeń.

Rządowa francuska komisya balonowa, tytulująca się *Commission pour les Communications par Voie Aérienne* stała się obecnie komisyą stałą. Do zakresu jej czynności wchodzi zajmowanie się pocztą gołębią i balonami.

— Rząd indyjski zamierza w porozumieniu z chińskiemi władzami zrobić ekspedycyą od Pekinu do Lhassy, która mieć będzie głównie na celu zawiązanie stosunków handlowych między Indyami a Tybetem.

ROZMAITOŚCI.

— Paryż posiada niezmierną ilość kursów publicznych, otwartych dla wszystkich bez wyjątku; jest to niewątpliwie jedna z zalet jego, jedna z tych rzeczy, który nadają mu cechę istotnej stolicy cywilizowanego świata. O każdej godzinie dnia, w rozmaitych szkołach, rozliczne katedry zajmują najznakomitsi mężowie Francyi, i przemawiają do mniej więcej dobranego audytoryum. Słucha ich kto tylko słuchać pragnie. Każda nauka, nawet lingwistyka, jest znakomicie reprezentowaną. Można nie ruszając się z Paryża i nie wydając franka, korzystać z kursów wszystkich nauk i wszystkich języków, z umarłych lub żyjących, nie wyjmując chińskiego. Ten ostatni wykładany jest przez ziomka naszego, Juliana Kleczkowskiego. Kleczkowski, hrabia francuski, który dostał ten tytuł za usługi oddane przybranej ojczyźnie, odznaczał się dziwnym hartem charakteru i niezachwianą wolą. Przybył do Paryża lat temu trzydzieści bez żadnego materyalnego zasobu, a co więcej i bez zasobu wiedzy. Nie upadł jednak na duchu, a rozglądając się w koło, zrozumiał szybko, iż koniecznym warunkiem powodzenia jest jakabądź specyalność doprowadzona do wysokiego stopnia. Specyalności nie posiadał żadnej, postanowił więc nabyć czego mu brakło, a ponieważ zawiązywały się coraz częstsze stosunki Francyi z Chinami i język chiński był prawie nieuprawiany, oddał mu się zupełnie, pracując jednocześnie na chleb powszedni. Energią i wolą przezwyciężył wszystkie trudności, a przy wrodzonej zdolności lingwistycznej Polaków, doszedł wkrótce do swego celu. W zawodzie, jaki obrał, nie było współzawodnictwa został więc łatwo tłómaczem przy legacyi francuskiej w Chinach, później zamieszkał w Szangai, a w czasie wyprawy na Pekin otrzymał tytuł hrabiego i zyskał sobie wdzięczność Francyi. Obecnie jest profesorem w wyższej szkole języków żyjących, członkiem akademii nauk, oficerem legii honorowej i używa tu wielkiego znaczenia. Posada profesora szkół wyższych jest już nie małym zaszczytem, niejednokrotnie pomiędzy uczonymi rekrutują się ministrowie, jak Juliusz Simon, Laboulaye, Waddington. W Sorbonie i College de France usłyszeć można najznakomitszych uczonych, i tak: sędziwy Claude Bernard wykłada fizyologię w College, wymowny i świetny Fengende ulubieniec płci pięknej, literaturę francuzką z wieku Ludwika XIV, Ernest Renan tłómaczy psalmy Dawida. W szkole lekarskiej, Wurtz, twórca filozofii chemicznej, wykłada chemię biologiczną; sławny Gavaret, fizykę lekarską Broca, antropologię.

— W przedostatnim numerze „Kroniki Rodzinnej„ pomieszczony jest, przez księdza Jukundyna Bielaka z Jerozolimy, dosyć ciekawy wykaz szkół i szkółek bezpłatnych, utrzymywanych na Wschodzie pod opieką rządu tureckiego przez katolickie misye różnych zakonników, z czego się pokazuje, że liczba tych szkółek dosyć jest znaczna w stosunku do ludności chrześcijańskiej. W rzędzie nauczycielek szkółek żeńskich znajduje się także i kilka Polek, które jako siostry miłosierdzia, zdala od swoich poświęcają się dla dobra biedniejszej braci i tak: Jadwiga Ajałowska w Syryi w Sydonie udziela lekcye francuskiego i angielskiego języka. Letycya Szczygielska w Jaffie daje lekcye muzyki; Celestyna Steczewicz jest nauczycielką w Jaffie; Halina Heydukiewicz udziela także lekcye muzyki dzieciom króla birmańskiego. Oprócz wyżej wymienionych, kilka innych udziela lekcye robót ręcznych w Jerozolimie, w Sydonie i na wyspie Cyprze. Z pomiędzy zakonników naszych rodaków wymienia Kronika: Mateusza Lisieckiego, który jest proboszczem w Betleemie, Jana Gronet w Getthsemani, Władysława Sznejder, Jukundyna Bielaka, Jakóba Katarzyńskiego w Jerozolimie.

— Dzienniki nowojorskie opowiadają charakterystyczny epizod z ostatniego powstania Indyan w zachodnich stronach Ameryki Północnej. Reporter dziennika „N. J. Post“ p. Stephenson wpadł był w ręce Czerwonoskórych z plemiona Sioux i został przez nich oskalpowany. Straszną przygodę swoja opisuje Stephenson w następujący sposób: „Od chwili gdy mnie złowiono, do czasu gdym stracił przytomność, upłynęło zaledwie parę minut, a jednak zdawało mi się, żem przeżył wieczność. Czułem, jak około mego ciała obwinął się arkan (lasso), spadłem z konia, i prawie w mgnieniu oka przygniotły piersi moją dwa kolana i zobaczyłem utkwione we mnie dwoje iskrzących oczu Indyanina. Schwycił swój tomahawk, aby mi czaszkę rozpłatać, lecz nagle zatrzymał się, i pomyślawszy, iż byłoby daleko przyjemniej żywcem mnie oskalpować, położył zabójcze narzędzie obok siebie na trawie. Chciałem krzyknąć, dźwignąć się, bronić, ale byłem jak sparaliżowany. Nagle błysnął przed memi oczami nóż, uczułem dokoła głowy jakby pierścień ognisty, poczem zdało mi się, że rozpalone naczynie żelazne wciśnięto mi na głowę, i podczas gdy Indyanin oddalał się, zemdlałem. Oddział wojsk znalazł mnie w tym stanie i zabrał do szpitala, gdzie przez cały miesiąc leżałem, walcząc między życiem a śmiercią. Głowa mi gorzała, jakbym w mózgu miał płonącą lampę spirytusową, tymczasem skóra na czaszce powoli zaczynała odrastać, pokryta czerwonemi plamami, i bez śladu włosów. Jest ona dzisiaj nadzwyczaj czuła, a mianowicie podczas zmian temperatury.“ Dodać wypada, że redakcya „New-York Post“ wypłaciła p. Stephensowi 20,000 dolarów, tytułem wynagrodzenia „za poniesione straty.“

— Straszliwy wypadek pogrzebania żywcem przydarzył się niedawno w Ameryce. Zwłoki człowieka, który dla poprawienia swego zdrowia wysłany został do Kalifornii i umarł w Colorado, zamknięte w metalowej trumnie były wiezione koleją żelazną do Ameryki północnej gdzie nieboszczyk mieszkał. Skoro pociąg kolei Oceanu Spokojnego przybył do Ogden-Junction, oddano trupa kompanii trudniącej się pogrzebami, która wydelegowała osobnego urzędnika celem doglądania i dalszego przewozu nieboszczyka. W drodze zdało się urzędnikowi jakoby słyszał głos wychodzący z trumny, co wzbudziło w nim podejrzenie, że mniemany zmarły powrócił do życia. Zawiadomił o tem zaraz konduktora kolei — pociąg stanął i otworzono skrzynię, w której trumna była zamknięta. Zimno było mocne i na wewnętrznej stronie szyby szklannej umieszczonej w trumnie spostrzeżono gęstą rosę, jaka powstaje z oddechu jeśli twarz przymkniemy do szkła. Zauważono również że zmarły był zwrócony twarzą do szyby szklannej—inne okoliczności wskazywały, że w ciele tkwi jeszcze iskierka życia. Mimo to jednak urzędnicy kolejowi wyśmiali tylko zbyt sumiennego dozorcę, tłomacząc, że rosa na szybie powstała z bardzo naturalnego wywiązywania się ciepła przy chemicznym rozkładzie ciała — zmiana zaś w położeniu jest następstwem szybkiej jazdy i wstrząśnień ztąd powstałych. Skoro atoli trumna przybyła do miejsca swego przeznaczenia, spostrzeżono po jej otworzeniu liczne i niezaprzeczone ślady, że okropne przypuszczenia dozorcy były prawdziwe. Trup, bo teraz był to już trup, ręce miał konwulsyjnie ściśnięte, wargi pogryzione a usta pełne zlodowaciałej krwi. Głos więc, jaki dozorca słyszał, był jękiem nieszczęśliwego, może ostatnim.

— Pan Stanley Jezvens, profesor ekonomii politycznej w Manchester i jeden ze znakomitszych matematyków angielskich, wydał bardzo ważne dzieło o znaczeniu, monety i ogólnym mechanizmie zamian. We wstępie do tego poważnego dzieła, umieścił humorystyczną anegdotę, którą dla jej oryginalności przytaczamy. Panna Zelia, śpiewaczka Teatru Lirycznego w Paryżu, parę lat temu odbywając podróż artystyczną, zawędrowała aż na wyspy Przyjacielskie (archipelag Fidżi) i tam dawała koncert. W zamian za aryą z Normy i kilka drobnych śpiewek miała otrzymać trzecią część dochodu brutto. Po obliczeniu tegoż ukazało się iż na jej część przypadło: trzy wieprze, dwadzieścia trzy indyki, czterdzieści cztery kury, 5 tysięcy kokosowych orzechów i niezliczona moc bananów, cytryn, i pomarańcz. Tę ogromną ilość dobrych rzeczy, pisze dowcipna śpiewaczka w liście podanym do druku przez p. Wołowskiego, tę ilość wieprzowiny, drobiu i owoców, gdybym miała na targu Paryzkim, otrzymałabym za nią co najmniej z 5,000 fr. byłoby to wcale ładnem wynagrodzeniem za pięć piosenek! Ale tu na wyspach Fidżi, monety mało, nie mogąc zkonsumować moich honorariów, jedną ich połowę musiałam użyć na wykarmienie drugiej, wieprze moje, indyki i kury pozjadały moje banany i kokosy. Nie wyszło jednak im to na dobre, bo z kolei i ja pozjadałam je przyzwawszy w pomoc znajomych. Były wyborne!

— Korespondent wiedeńskiego Fremdenblattu podaje kilka ciekawych szczegółów, odnoszących się do parlamentu tureckiego, który jak czytelnikowi już wiadomo, został otwarty dnia 19 marca. „Z wszystkich stron — pisze ten korespondent, spieszą deputowani do stolicy, aby swą obecnością uświetnić otwarcie pierwszego parlamentu tureckiego. Mówię uświetnić, należałoby powiedzieć, upiększyć, gdyż ludzie ci w swych różnorodnych i nader malowniczych ubiorach i w swych niemniej różnorodnych i pstrych okryciach głowy nadadzą sali tronowej widok bardzo romantyczny i zrobią uroczystość tego dnitem powabniejszą i bardziej imponującą. W naszych kołach rządowych panuje naturalnie wielka radość z powodu przybycia reprezentantów narodu, gdyż koła te spodziewają się, że z ich pomocą uda się utrzymać w państwie spokój i naprawić bardzo nadwerężone finanse. To też nie dziw, że W. wezyr, skoro tylko jaki parowiec zawinie do przestani, lub też jaki pociąg osobowy zajedzie na dworzec kolejowy, natychmiast wysyła jednego z swych sekretarzy, aby się dowiedzieć, czy może znów nie przybyło kilku deputowanych, skąd pochodzą, jak się nazywają i gdzie mieszkają. Zresztą i deputowani nie zaniedbują oddawać W. wezyrowi i jego kolegom ministeryalnym należnych honorów; natychmiast po swem przybyciu udają się osobiście do W. wezyra a innym ministrom zostawiają swe karty wizytowe. Za to bez wyjątku przedstawiają się osobiście prezydentowi Izby deputowanych Achmed Vefik effendiemu aby mu złożyć swe uszanowanie i odebrać potrzebne wskazówki co do wyboru miejsc w sali narad i co do wręczenia legitymacyi poselskich. Od prezydenta udają się deputowani zwykle do sali posiedzeń, aby ją przedewszystkiem obejrzeć, wybrać sobie miejsce i podług zwyczaju parlamentarnego oznaczyć je natychmiast swoją kartą wizytową. Niektórzy deputowani zwłaszcza z środkowych części Turcyi azyatyckiej, zdają się wcale nie znać biletów wizytowych, gdyż na wielu miejscach widzieć można tylko karteczki papieru z nazwiskiem deputowanego. Niekiedy można znaleźć na takiej karteczce także nazwisko ojca i dziada deputowanego i to zwykle w takiej formie: „N. N. syn N. N. którego (których) oby Bóg jeszcze długo raczył zachować przy życiu.“ Co się tyczy przyszłego ugrupowania deputowanych, dowiaduję się, że będą istniały dwie partye, ministeryalna i opozycyjna. Ponieważ wśród stosunków tureckich a przynajmniej na teraz o właściwej opozycyi nie może być mowy, gdyż i ministrowie przyznają, że administracya państwa była dotąd bardzo smutną i radykalnej musi uledz reformie, więc opozycya ograniczy się prawdopodobnie do żądania, aby przeobiecane reformy szybko i zupełnie zostały przeprowadzone, podczas gdy jej przeciwnicy będą sobie życzyli, aby i te sprawy oddać radzie ministeryalnej do rozstrzygnięcia. Rozumie się że na dzielnych mowcach nie będzie wcale zbywało, gdyż retoryka i dziś jeszcze jest na Wschodzie wysoko cenioną nauką, a nawet w szkołach bywa udzielaną. Nawet Beduini nie wybiorą sobie na naczelnika takiego, o którym wprzód nie wiedzą, że mu mowa „jak miód spływa z ust i że słowa jego jak orzeźwiający deszcz tryskają na słuchaczy.“

Od Redakcyi.

PP. Autorów i Wydawców upraszamy o nadsyłanie ekzemplarzy dzieł, w celu przyspieszenia sprawozdań w „Tygodniu.“

Treść Nr. 30.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.